**Nr. 41.** Warszawa, dnia 30 Września (13 Października) 1900 r. **Rok XX.**

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



— W d. 9 (22) i 10 (23) września 1900 r. sąd wojenny okręgu warszawskiego, rozpoznawszy dwie sprawy oddanych pod sąd przez dowódcę wojsk warszawskiego okręgu wojskowego obwinionych: mieszczan Piotra Pawła (dwóch imion) syna Franciszka Czerwińskiego lat 21 i Konrada Stanisława (dwóch imion) syna Franciszka Jeziorowskiego lat 23, oraz włościan: Aleksandra syna Józefa Mrozika lat 22, Józefa Władysława (dwóch imion) syna Wincentego Krawczyka lat 21, Stanisława syna Jana Glińskiego lat 19, Andrzeja syna Franciszka Rutkowskiego lat 23 i Józefa syna Jana Karcza lat 26 — uznał: 1) wszystkie pomienione osoby za winne należenia do potajemnej polskiej partyi socyalistycznej, mającej na celu obalenie istniejącego ustroju państwowego i ekonomicznego i 2) Czerwińskiego za winnego dokonania, dla celów tejże partyi, rozmyślnego zabójstwa na osobie majstra z fabryki Pelcera w Częstochowie, Józefa Szancenberga, pozostałych zaś obwinionych: Jeziorowskiego, Mrozika, Krawczyka, Glińskiego, Rutkowskiego i Karcza za winnych popełnienia, dla celów tejże partyi, na mocy uprzedniego między sobą porozumienia, rozmyślnego zabójstwa na osobie maszynisty z kopalni „Fanny" w powiecie Będzińskim, Jana Mazura.

Wskutek tego i na mocy art. 2, 10, 12, 279 ks. XXII wyd. 2 Zbioru post. woj. z r. 1869 i art. 119, 149, 152, 249, 250 i 1454 Kodeksu kar głównych i poprawczych, sąd wojenny okręgu warszawskiego postanowił: wszystkich pomienionych wyżej obwinionych skazać na karę śmierci przez powieszenie z pozbawieniem wszelkich praw stanu.

Po podaniu tych wyroków sądu do wiadomości Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, Jego Cesarska Mość w d. 13 (26) września r. b. w Spale Najmiłościwiej rozkazać raczył: zastąpić karę śmierci zesłaniem pomienionych obwinionych do ciężkich robót: Jeziorowskiego na dożywotnie ciężkie roboty, Czerwińskiego, Rutkowskiego i Glińskiego na lat 20, Karcza, Mrozika i Krawczyka na lat 15, wszystkich z pozbawieniem wszelkich praw stanu.

Wszyscy wymienieni podsądni w sprawach zabójstwa Szancenberga i Mazura w celach polskiej partyi socyalistycznej, najpoddaniej prosili Najjaśniejszego Pana d. 23 i 24 września o darowanie im życia. Pierwszy prosił o to Konrad Jeziorowski, który kierował czynami innych. W swoim najpoddanniejszym telegramie wyraża on zupełną skruchę z powodu popełnionego przestępstwa. (*Warsz. Dn.*)

---

## POLITYKA.

### W CHINACH.

Niedaleko pomknęła Europa z Pekinu w głąb kraju, ku zachodowi i południu: nie posunęła się wcale. Niemcy wychylili się, ale dostali cięgi; po cięgach nazywają tę wyprawę rekonesansem, który stwierdził istnienie przeważnych sił chińskich. Nam niechaj wolno będzie stwierdzić klęskę niemiecką. Zabierają się do powrotu Amerykanie. Wojsko rosyjskie opuściło nawet pałac letni cesarzów; miąższ jego posuwa się już ku wschodowi, nie tyle może do Tien-tsinu, ile do Jung-ping-fu nad wewnętrznem morzem żółtem, na którego pobrzeżu leży też i Szan-hai-kuan, czy kwan, jak go pisze Richthofen. Ta właśnie miejscowość, krańcowy punkt drogi żelaznej, czynnej już za Japończyków w r. 1894, uległa zajęciu przez siły sprzężone w d. 1 października. Opanowanie jej, postanowione na radzie wojennej, złożonej przez generalissimusa, nie przedstawiało trudności. Gdy okręty rosyjskie, francuskie, niemieckie, angielskie i japońskie stanęły w porcie Ning-hai, należącym topograficznie do Szanu, okręty chińskie opadnięte wcale nawet o oporze nie myślały. Obstawiono je i znieruchomiono, a tymczasem ten lichy żołnierz, jakiego zamysł Europy zaskoczył w Szanie, czemprędzej umknął.

Dążąc do zajętego już dziś, a nader ważnego punktu, Europa miała jeden cel niezawodny: chciała pozyskać sobie wsporę wschodnio-północną dla sieci militarnego owładnięcia, zarzucanej na całą północno-wschodnią część Czy-li; bez tego zimą niepodobna byłoby trzymać się w Pekinie. Cała część prowincyi cesarskiej pomiędzy morzem chińskiem a dopływem Pai-ho, wybiegającym z za Paoting-po, samą rzeką Pai-ho i morzem znaleźć się musi w mocy Europejczyków, jeśli ci chcą spokojnie siedzieć w Pekinie. Południo-zachodni róg tej widowni, Pao-ting-fo, będzie również zdobyty, niechaj tylko nadciągną większe siły i Niemcy, podzielając zawiść ku Japończykom, będą mogły zorganizować porządną wyprawę w jakie 25—30 tysięcy ludzi bojowo zaopatrzonych. Dotychczas parę razy się już rozpędzano, ale zawsze chęć prześcigała uczynek: teraz nareszcie, już w tym tygodniu, a nie w tym, to w przyszłym, Europa wyruszy na zdobycie punktu zajętego wrzekomo przez jakichś weteranów, przez stare gwardye, przez wyborowego żołnierza, który może wyborowości swojej tem przynajmniej dowiedzie, że broni przed bojem nie rzuci i nie da się wyparować bez walki.

Przy zajmowaniu Szan-haj-kwanu miano jeszcze cel inny: chciano zapobiedz wyłącznemu posiadaniu tego punktu przez jedno tylko mocarstwo. Posiadanie na wspólny rachunek wydało się odpowiedniejszem. Zajęcie na północo-wschodzie Niu-czuangu nad wewnętrznem morzem Żółtem, które tu jest zatoką Liao-tong, i kierunek pochodu przez Mandżuryę na chwilę jedną nie przerywanego, zaleciły sprzężonej Europie — usadowienie się uprzednie w Szanie, choćby posiadanie to

miało być tylko zdobyciem zastawu pożądanego przy układach dyplomatycznych, odbywających się bez przerwy pomiędzy współuczestnikami wyprawy. Żaden rozsądny wódz ani dyplomata nie może mieć złudzeń, aby mu się udało na trwałe punkt tak ważny, jak Szan, uczynić jakąś własnością wspólną lub z własnej, nieskrępowanej woli zwrócić go Chińczykom: każdy jednak chciał w tym ważnym punkcie dlatego właśnie, że ważny, stanąć, aby z zajęcia jego wytworzyć sobie wartość, za którąby w układach mógł coś dostać. Rozsądek nakazał już zapewne pogodzić się z myślą, że Mandżurya nie będzie ani europejską, ani chińską, że zatem i Szanhai-kwan europejskim przynajmniej być nie może.

W potajemnych układach między mocarstwami dojrzewa owoc zdobyczy, nabiera twardego jądra pierwotna myśl podziału wpływów i sfer. Wypadki dotychczasowe bynajmniej pierwotnych zarysów nie zmąciły. Jakkolwiek daleko czy blizko od morza sięgnąć może ramię zdobywcze, północ przypadnie temu mocarstwu, które ma do niej najłatwiejszy i najdzielniejszy dostęp, południe—Francyi, która również tam ma już otwarte od Tonkinu wrota; wschód pomorski, Szan-tung — Niemcom; dolina Jang-tse-kiangu — Anglikom, którzy już oddawna przewagę handlową nad innemi narodami w niej posiadają. Szybkość lub powolność ruchów, doskonałość lub fuszerowanie roboty mogą nadawać różne postacie pojedynczym momentom odchińszczania Chin, ale samej czynności już nie powstrzymają, rozkładu jej terytoryalnego nie zmienią. Japonia tylko nic nie dostanie, a raczej przez samo usadowienie się Europy, to jest świata polityczniedziejowo żyjącego, na morzu Żółtem— dostanie przestrogę, aby się przygotowała na śmierć. Kwestya chińska nie jest właściwie kwestyą, jest procesem, a proces ten otwiera widnokręgi tak rozległe, że wobec nich Li-Chung-Czangi i Tuany, Kwangsuowie i Bokserzy, Waldersee'owie z laskami marszałkowskiemi i Delcassé'owie z notami — są małemi mrówkami, które nosorożec przyszłości ciężkiemi stopami w ziemię wgniata.

## Zatarg czesko-polski w Cieszyńskiem.

W ostatnich czasach dzienniki galicyjskie i czeskie pilnie się zajmują sprawą stosunków czesko-polskich w Cieszyńskiem. Wciąż wyłaniają się nowe projekty uregulowania tej sprawy. Organ staro-Czechów, praska *Politik*, radzi przeprowadzić coś w rodzaju plebiscytu, ażeby dać mieszkańcom Szlązka możność oświadczenia, do jakiej narodowości każdy z nich należy. *Czas* proponuje znowu akademiom umiejętności, praskiej i krakowskiej, przeprowadzić ścisłe badania etnograficzne, ażeby można było wytknąć granice, oddzielające czeski obszar etnograficzny od polskiego. Inne pisma podnoszą jeszcze inne projekty załatwienia sporu, przybierającego coraz większe rozmiary, zaogniającego coraz bardziej stosunki polsko-czeskie i wytwarzającego rozdrażnienie, odbijające się głośnem echem w prasie zarówno polskiej, jak i czeskiej.

Sprawa polsko-czeska w Cieszyńskiem bez wątpienia w znacznym stopniu przyczynia się do takiego lub innego ułożenia stosunków Polaków do Czechów w Austryi. Cieszyńskie jest bowiem dla Polaków w Austryi „polem doświadczalnem" dla owej polityki „wzajemności słowiańskiej," wywołanej przez smutnej pamięci Badeniego, której epigonowie dziś jeszcze tułają się po redakcyach klerykalnych i antysemickich.

Wobec tego wszystkiego warto się przyjrzeć tym stosunkom, warto poznać istotny stan rzeczy, warto zastanowić się nad przyczynami zatargu polsko-czeskiego i zrozumieć, w jakim kierunku pójdzie rozwój tej sprawy.

Jest to fakt ogólnie znany, że Ks. Cieszyńskie, oderwane już w zaraniu dziejów naszych od reszty polskiego obszaru etnograficznego, w bardzo silnym stopniu i przez bardzo długi czas ulegało czeskim wpływom kulturalnym. Kościół i szkoła, posługujące się językiem czeskim, oddziaływały na rdzennie polską ludność Szlązka, szerzyły wśród niej znajomość czeszczyzny i nawet wynaradawiały ją. Tym wpływom prawdopodobnie należy przypisać istnienie zwartej masy Czechów w południowo-zachodniej, przylegającej do Moraw, części Cieszyńskiego.

Należy jednak zaznaczyć, że wpływy te nie ustały do dnia dzisiejszego, choć poniekąd zmieniły swój charakter. Do bardzo niedawna w kościołach wsi czysto polskich odbywały się kazania w języku czeskim; wyjątkowo zdarza się to i dzisiaj. Szkoła zaś czeska dla dziatwy polskiej i dziś jeszcze nie jest czemś nadzwyczajnem. Do tych dwóch, zanikających coraz bardziej czynników przybył jednak nowy, nieznany dawniej — świadoma, celowa, bezwzględna działalność polityków młodoczeskich, wyzyskujących dla celów szowinistycznych zależność ekonomiczną ubogiej ludności polskiej.

Czescy inżenierowie, sztygarzy, dozorcy, urzędnicy, nauczyciele itd. prowadzą robotę czechizatorską wśród ludności pracującej po fabrykach i kopalniach. Robotnik, posyłający swe dzieci do szkoły czeskiej, usiłujący również mówić po czesku, może zawsze liczyć na poparcie urzędnika lub inżeniera czeskiego. Polacy, nieulegający wpływom czeskim, nie idący przy wyborach gminnych za wskazówkami Czechów, narażeni są na szykany. Wobec tego ciemny chłop galicyjski, którego nędza przygnała na Szląsk za chlebem, czeszczył się do niedawna dość szybko, tem bardziej, że początkowo był w mniejszości wobec robotników czeskich, którzy, stojąc wyżej od niego pod każdym względem, oddziaływali nań kulturalnie za pomocą pisemek, broszur i zgromadzeń czeskich.

Doszło do tego, że Mazur z pod Tarnowa lub Rzeszowa po paru latach pobytu na Szlązku poczynał nałamywać swój język do czeszczyzny, uważać się za Czecha

---

Jan Augustynowicz.

## W CIENIU.

(Dokończenie).

Stryjenka Joanna pragnęła skrycie tego związku, to było widoczne. Zenię poznała niedawno, rok temu, u rodziców jej w Sandomierskiem, ale polubiła ją gorąco, oceniwszy pewnie prędko niezwykłe jej zalety serca i umysłu. Nie „łowiła" go jednak dla Zeni; o tem mógł się przekonać choćby z tego, że zaprosiła ją do Zalesiniec w porze, gdy on w żadnym razie w Nabolewie bawić nie miał. Przyjechał wcześniej i niespodziewanie, a stryjenka ani odgadywała przyczyny...

Zenia zresztą sama za dumna i za uczciwa była na to, aby się w takie wyrachowanie bawić... Lecz stryjenka, w której ta myśl, to gorące nawet, choć nie wyjawione nigdy życzenie— zrodziły się przy wzajemnem — jego i Zeni — zapoznaniu się i zbliżeniu dopiero, nie wiedziała, biedna, że on jest już skuty na zawsze...

A tak pamiętała tę chwilę, kiedy ją po raz pierwszy ujrzał, gdy stryjenka Joanna ze zdziwieniem życzliwem po raz dziesiąty chyba o przyczynę niespodziewanego przyjazdu pytając, przedstawiała go jej: mój synowiec, Edward Bożysławski. Pamiętał, że z Zenią długo tego wieczoru rozmawiał i że mówił z jakąś rozkoszą niezwykłą. Pamięta, jak te czyste, wązkie usta poruszały się lekko, jak z nich płynęła czarowna jakby melodya. I przypomina sobie, z jakim bólem z Zalesiniec wtedy odjechał, jak mu ciemno i głucho było w wielkim dworze w Nabolewie...

I później był raz znowu jeszcze. Zenia wyszła gdzieś w pole, zastał tylko stryjenkę. Tak mu było dziwnie, nieprzyjemnie... Mimowoli spoglądał wciąż przed siebie, czy nie ujrzy wysmukłej sylwotki. A stryjenka opowiadała o niej, o ich domu, o jej rodzicach. On słuchał, słuchał...

Z taką serdecznością opowiadała o niej, z takiem ciepłem. I dowiedział się wtedy, że Zenia bawi w Zalesińcach już miesiąc i że zabawi jeszcze dwa. A później jedzie do Paryża do wujowstwa.

Stryjenka była ogromnie uradowana pobytem Zeni w Zalesińcach. Uderzyło go zdanie stryjenki: „z tą dziewczyną żyje się szerzej, pełniej..." W tych słowach tkwiło, zda się, wyjaśnienie ogromnego uroku, jaki Zenia na wszystkich podobno wywierała.

Dowiedział się również, że była najstarszą z rodzeństwa i nad wszystko umiłowanem dzieckiem pana Tolchowicza, człowieka prawego, zacnego. Była tą dobrą, jasną, która nietylko dzieckiem, ale i powiernikiem i przyjacielem najlepszym być potrafi. W szeregu innych zapamiętał jeszcze jedno: dwa razy oświadczano się Zeni i dwa razy odmówiła. Nie kochała podobno.

W trakcie tej rozmowy nadeszła ona. Była cała zaróżowiona, zachodzące słońce złociło ją łagodnie. Z prostotą podała mu rękę.

Z goryczą wspomniał wówczas Lucyę. Nawet pod względem fizycznym była biegunową antytezą Zeni.

Nie bawił tego dnia długo w Zalesińcach, choć znowu utonął prawie w rozmowie z Zenią. Poprostu zląkł się: czuł, jak bardzo zaczyna lgnąć do tej dziewczyny i jak w nim pożądanie jej obecności wzrasta. Postanowił przełamać to w sobie. Pożegnał się dosyć wcześnie i wrócił do Nabolewa.

Długo w noc przesiedział wtedy u siebie, rozmyślając gorączkowo. I przyszedł do przekonania, że w Zalesincach już więcej być nie powinien, że musi z Nabolewa wyjechać. Odpychał od siebie myśl, by do tej słodkiej dziewczyny serdeczniej zbliżyć się można, by wolno ją było przygarnąć duchowo ku sobie i tkliwszemi więzami splątać. Więc choć za pierwszym razem uczyniła na nim wrażenie tak głębokie i wielkie— odganiał tę marę od siebie całym wysiłkiem woli jak najdalej...

Następnego dnia zaraz kazał spakować najniezbędniejsze rzeczy, zdecydowawszy się na wyjazd natychmiastowy. Gdy jednak powóz zajechał, a on wspomniał, że może już nie ujrzeć więcej Zeni, zesztywniał jakby z osłupienia. Patrzał machinalnie na wysmukły factonik i kopiące niecierpliwie przy podjeździe konie, które, zda się, rade były ponieść go jak najprędzej do stacyi kolejowej, skąd łatwo

i pod wpływem polityków młodo-czeskich żądać szkoły... czeskiej.

Ale taki stan nie mógł trwać wiecznie. Pod wpływem czynników, o których będę mówił niżej, to dobrowolne czeszczenie się szło coraz słabiej i w końcu poczęło zupełnie ustawać. Lud polski na Szląsku nietylko nie objawiał chęci czeszczenia się w dalszym ciągu, ale począł coraz energiczniej usuwać i te resztki dawnego panowania kultury czeskiej na Szląsku, jakie się zachowały w postaci kazań i szkół dla ludności polskiej, ale przeszedł do taktyki odzyskania i tego, co mu Czesi zdążyli zagarnąć w najnowszych już czasach. Stosunki Polaków do Czechów zaostrzyły się w Cieszyńskiem znacznie.

Prasa czeska wszczęła krzyk straszny: „Cieszyńskie, nieodłączna część ziem korony św. Wacława, polszczy się!“ — zawołały *Narodni listy*, najbardziej wpływowy organ czeski. Posypały się artykuły, udowadniające jak na dłoni, że w Cieszyńskiem niema żadnych a żadnych Polaków, że ci, którzy się tam Polakami nazywają, to są spolszczeni Czesi itd. Poczęto urządzać wieczorki na dochód „zagrożonych“ przez Polaków gmin czeskich na Szląsku, wygłaszano odczyty, ziejące nienawiścią do polskości, a referent *Narodnich listów* od spraw szląskich, p. Horžica, piorunował na Polaków za ich zaborczość.

Było to w r. 1894—95, a więc przed erą Badeniego, która zrobiła z tego Horžicy specyalistę od wzajemności polsko-czeskiej, wylanego „przyjaciela“ Polaków itp. Na wyzywająco szowinistyczne artykuły Horžicy odpowiedział w jednym z dzienników warszawskich dr. Jan Bystroń, fachowy językoznawca, Szlązak rodowity, pochodzący właśnie z jednej z tych wsi, w których, według *Narodnich listów*, nie było ani jednego Polaka. Dr. Bystroń, który w ciągu dłuższego czasu zajmował się dyalektologią szląską i zwiedził osobiście wszystkie wsie Cieszyńskiego, wykazał, że ludność tego ostatniego jest rdzennie polska i wymienił wszystkie wsie czeskie południowo-zachodniego kąta księstwa.

Żaden Czech-fachowiec nie odpowiedział Bystroniowi, nie postarał się o zbicie jego argumentów, ale *Narodni listy* i nadal gromadziły fundusze na korzyść „zagrożonych“ przez Polaków gmin czeskich, a p. Horžica nie przestawał wygłaszać odczytów o przewrotności Polaków i cierpieniach uciskanych przez nich Czechów-Szlązaków.

Nastała era Badeniego, zapanowała sztuczna miłość czesko-polska i Cieszyńskiem mniej się zajmowano. Młodo-Czesi, co prawda, nie zaprzestali swej roboty czechizatorskiej na miejscu, ale prasa polska tłumiła rozpaczliwe krzyki Szlązaków i starała się waśń czesko-polską w Cieszyńskiem zabić milczeniem. Tylko od czasu do czasu przedostawało się do prasy demokratycznej jakieś echo wrącej tam walki.

Dziś, kiedy sojusz czesko-polski w parlamencie wiedeńskim poszedł w strzępy, propaganda czechizatorska w Cieszyńskiem znowu zwraca na siebie uwagę prasy galicyjskiej, znowu pisma polskie poczynają się gorszyć „braterską“ gospodarką Młodo-Czechów w Cieszyńskiem i myśleć o sposobach zapobieżenia jej. I czeskie i polskie dzienniki konserwatywne próbują sprawę załagodzić pokojowo, kiedy na samym Szlązku nikt już o tem nie myśli, a *Głos ludu śląskiego*, organ młodej, demokratycznie usposobionej inteligencyi polskiej w Cieszyńskiem, wypowiada Czechom walkę na całej linii.

(D. n.).

*Leon Wasilewski.*

---

**Tydzień polityczny**. Po okólniku Bulowa pierwszym, z d. 25 września, okólnik Bülowa drugi, z d. 1 października. Udaje sekretarz stanu niewiniątko i obraca sprawę tak, jakby to on właśnie potrzebował odwodzić innych od żądania ekstradycyi wielkich przestępców zaraz, natychmiast, jeszcze przed rozpoczęciem układów o pokój. Z mętów nieomylnej pychy sączy się wszakże fakt dla wszystkich jasny, a dla samego Bülowa jaknajjaśniejszy, że się Niemcy cofają przed oporem Europy i symfonię pomsty za mordy wygrywać będą na klarynecie. Ukaranie sprawców przestaje być progiem, który minerwa traktatowa przestąpić by musiała, aby daleki wschód Azyi w gałęzie, w całe konary oliwne przystroić. P. Delcasse w okólniku, współczesnym nowemu wykwitowi rozumu i woli niemieckiej, a zapowiadanym przez półurzędowców, proponuje: stałe zajęcie drogi z Pekinu do Taku, stałe wzbronienie dowozów broni w większych ilościach, i stałe też obsadzenie pomorza. Na żadną z tych stałości nie zgadzają się Stany Zjednoczone, które, według oświadczenia gen. Chaffee, wycofując się, widocznie miękną i na punkcie odwetu: ma się ideę, dopóki się ma pazury. Nie od Stanów Zjednoczonych i nie od Anglii, chociaż rząd jej wzmocnił się wyborami, uświetniającymi jej imperyalizm, ale od Rosyi, Niemiec i Francyi zależeć będzie chwila rozpoczęcia rokowań o pokój, którego pragnie skołatany, rozlatujący się centralny rząd chiński, ale którego może nie pragnąć naród i dziesiątki, setki, tysiące nawet rządów prowincyonalnych i miejscowych — głównie zaś stowarzyszeń, tej organicznej formy istnienia społeczeństwa chińskiego. Bokserzy wyrastają już pod Nankinem, pod Kantonem nawet.

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### KONGRES PRAW KOBIECYCH.

*Paryż, 8 października.*

Drugi tegoroczny zjazd kobiet nie był wcale podobny do pierwszego. Kongres czerwcowy „Oeuvres et institution feminines“ nosił na sobie cechę zgromadzenia mniej lub więcej postępowych filantropek, o tyle niezadowolonych z obecnych porządków, o ile nieposiadanie praw cywilnych wyrządza im szkodę; to też wszelkie śmielsze dążenia reformatorskie w innych dziedzinach przyjmowano niechętnie, tłumiąc zawczasu dyskusyę i dając do zrozumienia, że kongres oficyalny nie może stawić żadnych żądań zanadto sprzeciwiających się uświęconym wiekami i tradycyą stosunkom. Sławiono dobroczynność, jako lekarstwo uniwersalne na wszystkie niedole i przypisując jej pierwszorzędne znaczenie społeczne, obniżano wartość wszelkich innych dróg działalności.

---

już mógł dojechać do samego Nauheimu chociażby, do Łucyi.

I konie wróciły do stajni: nie pojechał. Cały tydzień jednak omijał jak najstaranniej Zalesińce, z jakimś uporem głusząc samego siebie. Chodził i jeździł w pole, wydawał rozkazy, dozorował, spierał się nawet z chłopami. Mimowoli przypomniał sobie odległe czasy praktyki u Naworskiego w Tomachniewicach, gdzie z wielką chęcią „zabijał się“ poprostu pracą. Miał uczucie, że zagłębia się w mroczną jakąś i pospolitą studnię, na której dnie topią się wszystkie bezwładności, apatye i bóle życia...

Ale po tygodniu dostał liścik od stryjenki. Pytała: „co się z tobą, chłopcze, dzieje, czemu nie przyjeżdżasz i nie pogadasz ze mną?.. Panna Tolchowiczówna wspominała z wielką przychylnością i życzliwością o tobie. Przyjedź, będzie nam wszystkim trojgu weselej...“

Długo trzymał ten list w ręce, wczytując się chciwie w ustęp o Zeni. Jakaś szalona tęsknota zatargała nim znowu. Poczuł niezwalczoną chęć ujrzenia Zeni ponownie.

Raz tylko jeszcze... A później już odjedzie, odjedzie na pewno...

Jak zdrój ożywczy na oazie pociągała go, zmęczonego obłudą i mirażami życia podróżnika, ta przeczysta dziewczyna...

I dlatego nie może się wahać. Raz jeden jeszcze chce, pragnie, musi ją zobaczyć.

Pojechał. A później zapamiętał się i nie miał już siły spełnić danej sobie obietnicy. Pojechał znowu raz i drugi, a potem jeździł coraz częściej. I zapomniało wszystkiem. Widmo Łucyi stawało mu czasami przed oczyma, ale odpychał je z nienawiścią od siebie. Ze złym uporem dążył tam, gdzie rozjaśniały się jego serce i dusza, z drżeniem i ponurą rozkoszą wchłaniał swe bezmiernie bolesne ukojenie, swoje ciemne szczęście...

. . . . . . . . . . . .

I nie powiedział jej, że należy do innej, że nie jest wolnym. Nie spełnił uczciwego obowiązku względem istoty, dla której jednak gotów był teraz oddać krew, ciało, mózg, pójść, w piekło...

Tak strasznie odpychał to od siebie, tak przeraźliwie bał się tego...

I widział, że ona, ta najdroższa, nigdy ani na jedno mgnienie nie posądzała go o nic złego...

Zenia ukochana... Taka dobra, słodka i łagodna, kobieta z duszą. A obok tej duszy żarzyło się w niej serce, będące niem nietylko z swej nazwy. To wszystko zaś oświecał umysł wykształcony i podniosły.

Wierzył, chciał wierzyć i przedtem, że takie, choć nieliczne, kobiety są na świecie. A teraz on sam oto spotkał podobną, do której konwulsyjnie wyciągał ręce, którąby z niewyrażoną radością i szczęściem chciał zabrać na swą wieczną własność i nie może, nie wolno mu za nic, za nic!

Więc oszałamiał się z dziką jakąś chęcią. Czuł, że postępuje względem niej niegodnie, a względem siebie zabójczo, ale nie miał już siły się cofnąć. Z dobrowolną, ślepą zaciekłością szedł w otchłań.

Bo ileż z nią wieczorów przegwarzył, ile dni razem przepędził! Stał się prawie domownikiem w Zalesińcach, w Nabolewie zwykle tylko noce spędzając. I tylko miał jedno pragnienie: być z nią wszędzie,

* * *

Widział, że po bliższem ich wzajemnem i serdeczniejszem poznaniu się i ona zaczyna lgnąć do niego, że instynktownie szuka go koło siebie. Czuł się lepszym w tym czystym stosunku do niej, żadna myśl brudna, żadne gminne pragnienie nie zamąciło umysłu jego, nie skalało spojrzenia, którem ogarniał śliczną jej postać... Opowiadał jej o swem dzieciństwie, o latach dojrzalszych, o tem, co przeżył, co widział i przemyślał. Mówił szczerze i nie podawał się za lepszego, niż był nim w istocie, słuchał, co ona mówiła. Tylko o wstrętnym epizodzie swego życia milczał z uporem zaciekłym, nie wspomniawszy nigdy ani słowem o Łucyi. Jakaś odraza i ból, i gorycz, i nienawiść, i strach ubezwładniały go i zamykały mu usta.

I słuchał znowu, bo ona coś opowiadała. A słuchał z takiem skupieniem... Jak cichy, cudny powiew biegły jej słowa i rozpływały się melodyą dziwną. Tak właśnie, nie inaczej, drga w tęskny wieczór letni czemś nieuchwytnem przestworze, zlewając w jedną całość dźwięki, tworzące muzykę... Zmysły jego usypiały. Patrzał na prześliczną twarz Zeni, poił się artyzmem jej kształtów i odczuwał tylko har-

Kongres wrześniowy miał inną fizyognomię. Przedewszystkiem komitet organizacyjny był bardziej demokratyczny; brakło w nim pań, należących do wyższego towarzystwa, natomiast były tu przedstawicielki pracy: nauczycielka szkoły miejskiej, kwiaciarka, zecerka i tytuniarka, których sąsiedztwo nie raziło bynajmniej doktorki Edwards-Pilliet, adwokatki Chaurin, literatki Savioz itp. Wbrew dotychczasowym zwyczajom, praktykowanym na wszystkich kongresach kobiecych, nie mieliśmy owej zwykłej powodzi referatów do wysłuchania i kilkuset wniosków do rozpatrzenia. Pracę tę wzięły na siebie wyznaczone przez komitet organizacyjny komisye, które dokonały uprzednio analizy referatów nadesłanych i sformułowały wnioski.

Mieliśmy przeto z każdej sekcyi — ekonomicznej, moralnej, wychowawczej i prawodawczej treściwe sprawozdania, poczem następowało kolejne odczytywanie wniosków i wolna nad nimi dyskusya. Dyskusya bywała niezmiernie ożywioną i — należy oddać sprawiedliwość komitetowi przewodniczącemu, że prowadził obrady z wielką bezstronnością. Przewodniczącą była najczęściej pani Pognon, której przekonania według tutejszych określeń parlamentarnych zaliczyć by można do *centre gauche*, a jednak nie starała się wywołać żadnej presyi w kierunku przeciwnym, gdy chodziło o wnioski radykalne, przez nią nie podzielane.

Ilość członków przeszła wszelkie oczekiwania, wielka sala pałacu kongresowego na wystawie na posiedzeniach popołudniowych szczelnie bywała zapełnianą, nawet przypadające podówczas uroczystości wystawowe nie zdołały odciągnąć publiczności. Znamiennym jednak rysem była nieobecność wszystkich znanych w Europie feministek: wogóle cudzoziemek w roli delegatek było niezmiernie mało.

Zarzucano kongresowi, że był francuskim raczej, niż międzynarodowym, w żądaniach bowiem poddawanych pod głosowanie uwzględniano bardziej Francyę. Zarzut, zdaniem mojem, nie słuszny, boć na tego rodzaju zjazdach międzynarodowość nie może polegać na stawianiu wniosków, dających się zastosować w każdym poszczególnym kraju, co sprowadziłoby z konieczności znaczne obniżenie skali żądań, a tem samem pozbawiłoby wszelkiego znaczenia. Jakże marnie wyglądałoby dla Francuzek żądanie wprowadzenia rozwodów lub dopuszczenia kobiet do posad inspektorek przemysłowych, skoro są tu już zdobycze dokonane w ich kraju, a można jedynie żądać dalszego i szerszego ich rozwoju.

Na wstępie przewodnicząca pani Pognon, prezydentka Ligi praw kobiecych, w krótkich słowach przypomniała, czem były poprzednie cztery paryskie międzynarodowe kongresy praw kobiecych w 1888, 1889, 1892 i 1896, zaznaczając postęp ideowy, dokonany w ciągu tego czasu, zasługi pierwszych pionierek ruchu, oraz zdobycze prawodawcze, wyjednane w ciągu ostatnich lat 4, a mianowicie: dopuszczenie kobiet w roli świadków przy aktach stanu cywilnego (1897), prawo wybieralności członków trybunału handlowego (1898), dopuszczenie do rad zarządzających w Dobroczynności miejskiej (1899), dostęp kobiet do szkoły sztuk pięknych (1900), oraz prawo wyborcze i obieralność do Rady wyższej pracy (Conseil superieur de travail). Nadto przeszło przez głosowanie w Izbie deputowanych i oczekuje na decyzyę senatu: prawo dozwalające robotnicy pobierania płacy bez udziału męża, prawo o kobietach adwokatkach, wreszcie prawo, zmuszające właścicieli magazynów do dostarczenia kobietom, tamże pracującym, krzeseł t. zw. *loi des sièges*.

W dalszym ciągu mówczyni zaznaczyła, że kobieta winna wystąpić na szersze pole pracy społecznej; zrozumie ona, iż filantropia, dobroczynność już się przeżyły, a miejsce ich zajmie solidarność; wykształcenie wyższe i gruntowniejsze pozwoli jej wniknąć głębiej w przyczyny nędzy. Nawoływała przeto kobiety do skierowania swej działalności ku zakładaniu stowarzyszeń, spółek kooperacyjnych i syndykatów, oraz do łączenia się w tej pracy z przedstawicielkami innych krajów.

Obrady rozpoczęły się od sprawozdania *sekcyi ekonomicznej*. Srawozdawczynią była zasłużona panna Bonnevial, nauczycielka miejska, a zarazem pierwsza kobieta, na którą padł zaszczytny wybór syndykatów robotnic, jako członka Conseil superieur du travail. Referat swój rozpoczęła od zaznaczenia, że komisya organizacyjna kongresu, stawiając kwestye ekonomiczne na pierwszym planie, przyznała tem samem, że wyzwolenie ekonomiczne kobiety jest punktem wyjścia i podstawą jej całkowitego wyzwolenia. Następnie rozpatrzyła treściwie zapatrywania, wyrażone w nadesłanych pracach. Rozprawy były niezmiernie ożywione, zwłaszcza kwestya zasadnicza, czy praca kobiet ma podlegać ochronnemu prawodawstwu, czy też być wolną, zdawała się niemożebną do rozstrzygnięcia; ostatecznie jednak zgodzono się na wniosek w następującej formie: Wszystkie prawa wyjątkowe dla robotnic będą zniesione i zastąpione przez prawodawstwo ochronne, uwzględniające potrzeby całej klasy robotniczej. Obok tego zawotowano: ośmiogodzinny dzień pracy, odpoczynek niedzielny, rozciągnięcie opieki prawodawczej nad zapomnianą dotychczas kategoryą kobiet, pracujących w handlu, przeciwdziałania konkurencyi zakładów dobroczynnych oraz ściślejszy nadzór nad niemi, gdyż stwierdzono, iż dziewczęta podlegają tam niezmiernemu wyzyskowi, pracują po nad ogólną normę w jaknajgorszych warunkach hygienicznych, a w dodatku wychodzą stamtąd bez grosza zarobku i bez znajomości fachu.

Hygiena robotnic miała w osobie pani Edwards-Pilliet, jednej z najwybitniejszych lekarek paryskich, niemniej doskonałą referentkę, której argumentacya pociągnęła audytoryum do jednomyślnego głosowania za wnioskami: zapewnienia należytego wypoczynku kobiecie dwa tygodnie przed i cztery tygodnie po porodzie, domagania się od senatu jaknajrychlejszego zatwierdzenia t. zw. *loi des sièges*, oraz podciągnięcia służących pod tęż samą opiekę prawną, co robotnice, odnośnie do wypoczynku i hygieny.

Naturalnie kwestya służby była drażliwą; znalazły się i w tem zgromadzeniu głosy, acz nieśmiało, dowodzące, że służąca nie jest wyzyskiwaną, że umie bronić swych interesów, słowem, że opieki nie potrzebuje. Dopiero wymowa słynnej publicystki Sévérine, oraz dzielnej szermierki postępu na polu pedagogiki, pani Ker-

---

monię. W jej przepięknem ciele szukał chciwie serca i duszy — i odnajdywał je.

Nieraz pragnienie szalone porywało go, by paść przed tą kochaną kobietą na kolana i wymodlić ją dla siebie, zabrać... Powiedzieć jej, jak ją bez granic umiłował, jak mu się drogą stała, z jaką radosną chęcią podzieliłby z nią życie... Lecz wtedy stawała mu w oczach postać Łucyi ze swymi okrągłymi, wydatnymi kształtami, z jakimś zmysłowym na ustach uśmiechem, postać dobrze tańczącej i doskonale prowadzącej banalną rozmowę panny — kobiety pospolitej i szablonowej, jego narzeczonej. Piołunowa gorycz wykrzywiała mu usta, wzrok gasł. Mrok słał się przed nim...

Aż oto dzisiaj rano właśnie, po dwóch dniach nieobecności w Zalesińcach, otrzymał list od stryjenki, który sprawił na nim wrażenie mrożące, list, który go oprzytomnił. Zenia wyjeżdża — wirowało mu w mózgu, choć mógł to przecież przewidzieć. Starał się jednak o tem nie myśleć. Lecz teraz daremnem było wszelkie łudzenie się i oszałamianie. To, co się stać miało, stało się...

I wie, że dzieje się straszna jakaś krzywda. Bo i jakże tu będzie bez tej Zeni, do której on duszą i sercem należy, jak żyć będzie bez niej i czy wogóle tak żyć może?

Wczoraj otrzymał list od Łucyi. Dopominała się o częstszą korespondencyi i zapytywała, jak dalece postąpiło urządzenie przyszłego ich „gniazdka" nabolewskiego. Ma więc odpowiedź na swój ból i rozpacz, na wszystko, co w nim wiadomość od stryjenki z nową siłą rozbudziło...

A Zenia? Może już oddawna oczekiwała od niego słowa drogiego, instynktem kobiety, która pokochała. Może serce jej drżało tak samo, jak jego, może myślała, że on przyjdzie do niej i powie jej: „weź mnie na wieki!" Może niepokój bolesny ogarniał ją na myśl, czy on to mymówi, a skromność dziewicza i delikatność szlachetna nie pozwalały jej dać poznać tego po sobie.

. . . . . . . . . . . . . . .

Wcisnął głowę z całej mocy w dłonie. Siedział pochylony, zdrętwiały, złamany. Tak strasznie chciałby jej to powiedzieć! Życie wydałoby mu się dobrem, szlachetnem. Poszedłby przez nie jakiś odrodzony moralnie, z wiarą w owocność takiego istnienia. Stworzyłby sobie cel w daniu szczęścia tej kobiecie, a gdyby los pobłogosławił ich dziecią[t]kiem, wychowaliby je wspólnie na człowieka-obywatela. Słońce zajaśniałoby dla niego i błękit roztoczyłby się nad nim. Z chciwością wchłaniałby to, coby mu orzeźwienie niosło, piłby ze źródła, które moc daje. Przy świętem ognisku, którego ona byłaby kapłanką, znalazłby ukojenie i podnietę do wszystkiego, co dobre, wzniosłe i czyste...

A teraz... Nie będzie jej tu już jutro, nie będzie nigdy i zniknie dla niego, jak miraż szczęścia, które on mógł posiąść. Nie może, nie wolno mu sięgać po to szczęście, byłby podłym. I tak postępował niegodnie.

Nagle dreszcz przeszył go. Zdało mu się, że usłyszał czyjś łagodny głos: „pan przyjechał, panie Edwardzie!" Podniósł głowę i spojrzał przed siebie: przed nim stała Zenia Tołchowiczówna.

*

Wstał pospiesznie, nerwowym ruchem jakby otrząsając się od huraganu myśli, który przed chwilą huczał mu w głowie. Drgnął przy uścisku białej, wązkiej jej ręki, ogarnął ją bezbrzeżnie bolesnem spojrzeniem...

A nią szarpał jakiś dziwny, dojmujący niepokój. Jutro już oto miała wyjechać, musi wyjechać... Gdy dano jej znać, że Bożysławski przyjechał, serce zabiło w niej gwałtownie.

Nie wiedziała o liście pani Joanny.

Milczała, czując, jak ciężko byłoby jej teraz cośkolwiek powiedzieć. On stał, jak skamieniały. Wreszcie się odezwała:

— Nie wiedziałyśmy o pańskim przyjeździe. Nie zajechał pan przed ganek...

— Zostawiłem konie przed stajnią. Jacyś interesanci są podobno we dworze?.. W parku siedziałem...

Chciał się uśmiechnąć, grymas tylko wykrzywił mu wargi.

— Pani Joanna za chwilę ulatwi się z nimi. Przybyli może przed godziną. Przyszłam, by poprosić pana osobiście do dworu.

Blade światło rozjaśniło jej oczy.

Stał, pochyliwszy głowę. Chciał patrzeć na nią, patrzeć aż do zapamiętania się, bez granic, nie śmiał jednak. Ból, wstyd,

gomard, które jakkolwiek były zdania, że należyta inspekcya w praktyce okazałaby się niemożliwą, niemniej jednak nawoływały do ukrócenia wyzysku zwierzchników względem służby — zmusiła niejako do przyjęcia wniosków co do rozciągnięcia opieki państwowej nad służącemi, zwłaszcza nieletniemi, zniesienia prywatnych biur stręczeń, a zastąpienia ich przez bezpłatne miejskie lub syndykalne, oraz poddawanie sporów pomiędzy służbą a pracodawcami orzeczeniu rad zawodowych rozjemczych, t. zw. Conseils des Prud' hommes.

*Sekcya moralności* zajmowała się kwestyą zniesienia ordynacyj prawno - policyjnych, regulujących prostytucyę. Doskonały referat pani Savioz (Sainte-Croix), w którym dała treściwy obraz historyczny, wywarł na zgromadzeniu tak potężne wrażenie, że nie chciano nikogo dopuścić do głosu w tejże sprawie, aby tem wyraźniej zaznaczyć, że nie może nawet być żadnej chwiejności. W istocie też wniosek referentki żądający, w imię zasad moralności i odpowiedzialności jednakich dla płci obojej, zniesienia wszystkich praw wyjątkowych w kwestyi obyczajów, został przez aklamacyę przyjęty.

*Sekcya wychowawcza* zaznaczyła również swe stanowisko postępowe, odrzucając wszelkie takie wnioski, które nie licowały z nowoczesnem pojmowaniem roli kobiety. Takiemu losowi uległa projektowana przez panią de Marsy szkoła sług; sekcya motywowała swe odrzucenie tem, że kongres kobiecy musi mieć na widoku takie jedynie cele, które nie sprzeciwiają się sprawiedliwości społecznej. Wychowywanie zaś kogoś w celu służenia innym sprzeciwia się ideałowi wyzwolenia kobiety. Odrzucono również jedno z żądań pani Dobor, aby dziewczęta zapoznawać z działalnością wszelkich instytucyj dobroczynnych. Wniosek przyjęto w formie zmienionej, gdy projektodawczyni zaznaczyła wyraźnie, że chodziło jej o rozwinięcie uczuć obywatelskich i zaszczepienie solidarności w kobietach, przez zapoznanie z działalnością nietylko zakładów filantropijnych, ale też zarówno wszelkich towarzystw współdzielczych, kas przezorności, wzajemnej pomocy itp.

Kongres domagał się w dalszym ciągu większej ilości szkół zawodowych, artystyczno - przemysłowych i handlowych, wstępu do wyższych zakładów naukowych, wprowadzenia do programów nauczania zasad prawodawstwa kobiecego, oraz hygieny, fizyologii i psychologii dziecka. Nie pominięto i nauki gospodarstwa domowego oraz wykształcenia rolniczego, tam gdzie ono może być użytecznem. Przyjęto również wniosek, aby w nauczaniu historyi nie rozwijać uwielbienia i entuzyazmu dla siły, lecz przeciwnie, podnosić znacznie uczonych i dobroczyńców ludzkości. Najbardziej ożywioną i ciekawą dyskusyę wywołała koedukacya; zarzuty stawiane przez prof. Kownackiego znalazły świetne odparcie w przemówieniach Leopolda Lacoura, pań Sévérine i Kergomard, którzy wykazali całą bezpodstawność zarzutów. Po raz też pierwszy na kongresie kobiecym kwestya koedukacyi uznaną została za sprawę niezmiernej wagi i wniosek zapadł jednomyślnie.

*Sekcya prawodawcza* sporo zajęła czasu, przedstawiła bowiem przeszło 20 wniosków i dała pole do istnego turnieju wymowie adwokackiej deputowanego Vivianiego, któremu kobiety francuskie wiele mają do zawdzięczenia, oraz młodego adwokata Le Foyer, którego ambitnem dążeniem było najwyraźniej przyćmić gwiazdę krasomówstwa swego kolegi Vivianiego. Większością głosów zatwierdzono: zniesienie wszelkich paragrafów kodeksu, nakazujących żonie posłuszeństwo; prawomocność rozwodu, skoro obie strony wyrażą ku temu życzenie trzykrotnie w przeciągu roku, zniesienie wszelkich kar za wiarołomstwo; wolność małżonki rozporządzania swą własnością; możność zawierania związków małżeńskich po dojściu do pełnoletności bez zezwolenia rodziców itp. Największy jednak interes budziła kwestya zniesienia art. 340, wzbraniającego dochodzenia ojcowstwa. Przewodnicząca Ligi praw kobiecych zużyła już wiele czasu i energii na propagowanie wszędzie i przy każdej sposobności swej idei, że dochodzenie ojcowstwa jest rzeczą niemoralną i niedoprowadzającą do celu, a jako środek zaradczy dla kobiet opuszczonych. wskazywała założenie „kasy macierzyństwa,“ któraby udzielała zapomóg bez żadnych formalności. Audytoryum zdawało się słuchać jej z wielką sympatyą, darząc ją częstymi oklaskami; skoro jednak po pani Pognon zabrał głos Viviani cała sala zatrzęsła się od oklasków, słuchając jego argumentacyi pełnej logiki i zapału, zwycięztwo było niespodziewane i całkowite. Projekt kasy macierzyństwa utrzymał się, bo nie stanowił przeszkody ani przeciwieństwa względem zniesienia owego artykułu kodeksu, spierano się tylko o to kto ma na nią łożyć — kobiety, czy mężczyźni, kawalerowie, czy żonaci?

Ostatni wniosek: zrównanie kobiet w prawach cywilnych i politycznych, przyjęty był przez aklamacyę bez najmniejszej dyskusyi, a zredagowana natychmiast petycya do Izby deputowanych wysłuchana była entuzyastycznie. Redakcya *Fronde*'y ma zająć się zbieraniem podpisów, a gdy ilość ich będzie dość poważną, Viviani obiecał przedstawić ją w Izbie i odpowiednio poprzeć.

Wreszcie nadmienić wypada, że kongres ten, jako zbyt postępowy, nie został zaszczycony zaproszeniem do ratusza, jak to miało miejsce z czerwcowym zjazdem kobiecym. Rada miejska w swym teraźniejszym składzie posiada, jak wiadomo, większość nacyonalistów, a ci są wrogami wszelkich dążeń szerszych i bardziej ludzkich. Niemniej jednak bawiono się dobrze na skromnym bankiecie...

*Iza Zielińska.*

---

# WYSTAWY.

## Owocowa.

Jeżeli tylko trzy lub cztery firmy ogrodnicze przyjmą udział w wystawie owocowej, okazowe powodzenie jej jest zapewnione. To znaczy: na wielkiej sali będą ustawione duże stoły, na tych stołach talerzyki z pięknymi owocami, jakich zwykły posiadacz sadu nigdy u siebie nie widzi i wyhodować nie może. Ten i ów, olśniony ich dorodnością, zapisze sobie: v. Mons, Duchesse Wiliams, Bré Driesche, Luiset, Benoit, Onondago,

---

cierpienie oszałamiały go. Miał uczucie, jakby go tysiącami ostrzy przeszywano, jakby w nim ostatnia struna, łącząca go z życiem, pęknąć miała... Precz stąd, oszuście, wyło mu coś w duszy — precz, kochanku Lucyi, precz choć teraz! — Twarz pomarszczyła mu się, wzrok wbił w ziemię.

— Pani wyjeżdża? — wykrztusił.

— Tak...

— Do Paryża?

— Tak...

Zdjął kapelusz, przegarnął włosy rękami. Czuł, że go coś dławi w gardle, że piersią jego zaczyna targać jakiś spazm. Zacisnął dłoń kurczowo.

— Więc pani już jutro wyjeżdża? — pytał po raz drugi, aby coś powiedzieć, aby nie milczeć. — Do wujowstwa?

Lecz nagle, jakby się coś w nim przełamało, jakby tama, powstrzymująca w nim wylew tego wszystkiego, co przemyślał i co przecierpiał, zerwała się, bo zaczął mówić szybko, urywkowo, błędnie:

— Pani wie, ja tu przyjechałem, by zobaczyć panią... Ja chciałem, musiałem panią zobaczyć!.. Ja nie mogłem wyrzec się ujrzenia pani!..

Ona stała spokojnie, z głową pochyloną, niema. Czarne jej cudne włosy mieniły się barwą jakby fioletu, śnieżnej białości twarz przypominała puch łabędzi...

Patrzał na nią rozbłysłym, gorejącym wzrokiem. Chwilę jakby walczył z sobą, jakby się pasował. Przełamał się jednak.

— Nikczemny jestem — rzekł gorączkowo — pani wie, nikczemny! Może mnie pani brała za człowieka uczciwego? Chciałem już dawno wyjechać — nie mogłem! Tak mnie coś strasznie przykuwało tu, ciągnęło... A ja mam... narzeczoną, narzeczoną!.. Pisała do mnie nawet, pytała, czy nasze „gniazdko“ nabolewskie jest gotowe. Nie chciałem myśleć o niej, chciałem się w niepamięć zamienić... Pragnie, by nasz ślub odbył się jak najprędzej, by mogła mi dać szczęście... Pani wie — szczęście, to jedno słowo „szczęście“ — takie przerażająco radosne i takie straszne zarazem. Będę, muszę być z nią szczęśliwym, muszę się z nią ożenić... I choć siedziałem w Nabolewie, to jednak wiedziałem, że się z nią połączę... Bo i jakże ja mogę inaczej postąpić, jak, panno Zenejdo? Odpychałem ją od siebie, odwracałem się od niej, przeklinałem ją, przepędzałem precz od siebie — z oczów, mózgu i duszy — a ona powracała zawsze jak upiór i jak upiór wżerała się we mnie... Lucya — pani wie, ta dobrze tańcząca i dobrze flirtująca panna, moja narzeczona. Bo ona — kończył jakimś prawie chrapliwym głosem—mnie kocha, kocha!

Zenia stała nieruchoma, wpatrując się z odrętwieniem w oszołomionego bólem Bożysławskiego. Jej głębokie jak toń oczy miały wyraz halucynacyi, biała twarz pokryła się lekkim, niezdrowym rumieńcem. Ręce opuściła bezwładnie, wargi rozchyliła.

A on wpił w nią swój pełen niewyrażonej męki wzrok, jakby obrazem jej chciał nasycić duszę swą na wieki... Lecz nagle podszedł do niej szybko i głosem rozpacznym, złamanym rzekł:

— Tylko jedną, tylko panią ukochałem bez granic! Do szaleństwa, całą duszą i sercem, wszystkiem, co może być w człowieku najlepszego i najczystszego... O pani myślałem, jak o źródle światła, które rozjaśnia życie; pani jest tą nieskalaną, świętą i serdeczną, co sercem i umysłem przykuwa do siebie na wieki; w pani jest to wszystko, co uczyniłoby dla mnie życie celowem i czarownem, gdyby mi wolno było sięgnąć po to szczęście!.. Tak strasznie cierpię... Panno Zenejdo, Zoniu!..

Zenia patrzała gdzieś w przestrzeń, we wzroku jej była martwota. Przy ostatnich słowach Bożysławskiego wzdrygnęła się lekko, jak człowiek, spostrzegający przepaść, w którą stoczyć się musi. Złowieszcza cisza i nieukojony smutek parku zdawały się ogarniać ich coraz więcej, straszna, bezdenna melancholia natury zlewała się ze śmiertelną goryczą ich dusz.

Lecz nagle spojrzeli w stronę: gdzieś niedaleko rozległ się wesoły głos stryjenki. Szła uśmiechnięta beztrosk liwie, dając im jakieś przyjazne znaki ręką. Była przekonaną pewnie, że Bożysławski uczynił nareszcie krok, którego sobie tak gorąco w głębi duszy życzyła, że oświadczył się Zeni... Spieszyła, by być świadkiem radosnego wzruszenia obojga, by ich pobłogosławić... Chciała złożyć im najserdeczniejsze swe życzenia dozgonnego szczęścia i cieszyło ją niewymownie, że może to uczynić...

---

Alfriston, Gloria Mundi, Akero itd., cały szereg nazw gruszek i jabłek, których szczepki kupi, zasadzi i będzie kilka lat czekał w naiwnej nadziei, że mu się urodzą podobne olbrzymy. Taki bywa zwykły skutek. To też dopóki wystawy owocowe ograniczają się do popisu kilku zakładów, prowadzonych umiejętnie i starannie, dopóty co najwyżej uczą, jak wysoko wzniosła się sztuka ogrodnicza, nie dając wszakże żadnego wyobrażenia o niższych i średnich jej szczeblach, stanowiących główną istotę produkcyi. U nas szerszy udział zwyczajnych hodowców, właścicieli sadów, w wystawie jest prawie zupełnie wykluczony przez to, że w nich znajdują się najrozmaitsze, często bardzo rzadkie odmiany, których nazw po większej części na miejscu nikt nie zna, a w Warszawie nikt oznaczyć nie umie lub nie chce. Sadziliśmy od dawiendawna drzewka bez planu i znajomości rzeczy, przyjmując takie, jakie nam szkółka handlowa przysłała. Dopóki na nich były tabliczki, wiedziano, co rośnie; gdy znaki zatarły się lub odpadły, pozostał ogród bezimienny, ochrzczony tylko fantazyjnemi a często najdziwaczniejszemi nazwiskami przez dzierżawiących go Żydów. Chociażby więc w takim ogrodzie rosły najdorodniejsze owoce, właściciel nie wystawi ich, bo bezimienność obniża ich znaczenie i jego zasługę.

Tegoroczna wystawa była również popisem znanych firm ogrodniczych z małym dodatkiem hodowli amatorskich. Hoserowie, Ulrich, Frascati, Podzamcze itd. — przedstawili bogate i piękne zbiory odmian zarówno rozpowszechnionych, jak rzadkich.

Jednocześnie odbyła się narada pomologów nad ułożeniem „doboru normalnego" drzew owocowych dla naszego kraju. Była to sprawa niezmiernej doniosłości, gdyż bez takiego na doświadczeniach i badaniach opartego doboru nie może być poprostu mowy o hodowli w większym zakresie, a istniejący dotąd nosił wszystkie cechy i posiadał wszystkie wady improwizacyi. Niestety, i tym razem rozwiązano zadanie zbyt pospiesznie i zbyt powierzchownie. Materyał obserwacyjny był szczupły, wnioski z niego wyciągano bez uwzględnienia różnic geograficznych i hodowlanych, często jeden głos decydował o przyjęciu lub odrzuceniu jakiejś odmiany. Mimo to uważamy ten pierwszy krok zbiorowy w ułożeniu doboru normalnego za bardzo ważny, gdyż utoruje on drogę następnym, które doprowadzą wreszcie do zestawienia wzorowego wykazu drzew owocowych, jakie kraj nasz z powodzeniem i korzyścią hodować może.

Dla zilustrowania doboru ułożono również wystawę odpowiednich mu owoców i ta była istotnie pouczająca.

### Rybacka.

Przez dwa tygodnie z rzędu cieszyła się Warszawa pierwszą wystawą rybacką. Dzieje spółki rybackiej, której ona była dzieckiem, tyle zawierające w sobie tragikomedyi, były niejednokrotnie już przedmiotem uwag z naszej strony. Dobrze się też stało, że nareszcie zaczęła ona prowadzić żywot prawidłowy, oparty na podstawach racyonalnych. Może też z czasem — nie próbujmy określić terminu — będziemy też posiadali ryby, na jakie warunki klimatyczne i potrzeby ekonomiczne naszego kraju pozwalają. Nie przesądzamy rezultatów tych zabiegów dla tej chociażby prostej przyczyny, że doskonale zdajemy sobie sprawę z powagi, z kolosalności niemal przedsięwzięcia zapoczątkowanego w chwili obecnej: rzeki z ryb ogołocone, brak prawie że zupełny prawidłowych gospodarstw rybnych, handel spoczywający w rękach nierozumnych a dla chwilowego domniemanego zysku poświęcających korzyści późniejsze a rzeczywiste, wandalizm ludności traktującej jako zabawkę jedną z niewielu dziedzin naszego bogactwa narodowego—słowem *une mer a boire!*

Nikt nie może wymagać od embryonu, jakim być mogła wystawa, aby przypominał owe wielkie popisy wystawowe, na jakie pozwolić sobie może oddawna mądrą żyjący kulturą Zachód rybacki. Wszakże kilka planów, niektóre okazy — budziły szczere zainteresowanie, a nawet uznanie dla zabiegów wystawców. Po za tem piękne zbiory wrogów rybich — ptaków i pasorzytów mogły zająć już nietylko hodowców albo przyszłych hodowców, ale i szerszą publiczność. Była to w każdym razie jeśli nie najlepiej urządzona, to jedna z najpożyteczniejszych wystaw, jakie gościła Warszawa. Rozrywek nie brakło. Zwiedziło wystawę podobno 20 tysięcy osób.

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Potargane myśli.

Jakże natrętna ta nić babiego lata! Wszędzie cię ściga: opływa na otwartem polu, przyczepia się z krzaków, owija ci głowę, ręce, nogi... Zdaje się, że ją snuje i spuszcza na ziemię jakaś niewidzialna prządka, zawieszona w powietrzu.

Podobne czasem bywają myśli...

Jesień prześliczna, godna całego roku, który chyba należy do najpiękniejszych i najweselszych, jakie od wieków patrzyły na brzydotę i smutek życia ludzkiego. Każdy dzień strojny, uśmiechnięty, miły, dobry... Jego wdzięki nie pozwalają na żadnym przedmiocie i widoku długo zatrzymać uwagi. Jasne niebo rozprasza myśli, ponure je skupia. Więc idąc zieloną jeszcze miedzą śród odpoczywających pól, dumam bezładnie.

Nikt Burom nie pomoże? Muszą zginąć?

Biedny chłopina orze krowami. To nie próżniujące mamki, obowiązane tylko dwa razy dziennie dać mleka ludzkim ssakom, to ubogie pracownice, których karmienie dzieci nie uwalnia od znoju. Nie mają wcale żalu do swego gospodarza. Gdy spojrzą na jego czarne, popękane dłonie, na jego nogi, na których stwardniała skóra stworzyła przyrośnięte obuwie, na połatane suknem i perkalem parciane spodnie, na pobrudzoną, piaskiem i nawozem pokrytą twarz, na której możnaby zasiać zboże... czyż nie widzą, że nie wymaga więcej od nich, niż od siebie? Ha, ha, ha! Temu chłopinie troskliwy o zdrowie ludu pan inżenier z Towarzystwa Hygienicznego radzi wybudować murowaną studnię kosztem 600 rb. i po wymurowaniu posłać z niej wodę do analizy dla przekonania się, czy dobra do picia... Ha, ha, ha! Jest humor!

Zdawałoby się, że krzyk ginącego narodu jest wołaniem strasznem... Dlaczegoż głos Burów nie wstrząsa światem?

Wiosna jest porą kwiatów, jesień porą liści. Jakiemże bogactwem barw one się mienią! Zielone, żółte, czerwone, bronzowe, w najrozmaitszych odcieniach. Przypominają mi się kwietniki warszawskie— prześlicznie i starannie utrzymane. Nic piękniejszego nie dostrzegłem w najstrojniejszych stolicach Europy. Reportorzy, którzy wzywali pogotowie ratunkowe opinii publicznej, gdy z konieczności ogłowiono kilka starych drzew alejowych, nie mają słowa uznania dla wielkiego gustu i troskliwości ogrodników miejskich tam, gdzie oni zasługują na najwyższą pochwałę. Prawda, natura urządzając swoje cudne widoki nie dba o reporterów, ale za to jej dzieła opiewają poeci. Oto znowu zachodzące słońce lunęło potokami blasków na zieloną ścianę lasu, który zasypia pod nimi w cichem rozmarzeniu. Para dzikich gołębi przeleciała lękliwie po nad nami i zapadła z ufnością w gęstą grupę drzew. Jak ten las ciągnie, ile obiecuje... Złudzenie! Gołębiom da spokój, ale nie ludziom.

Angielska zatem pięść, wzniesiona niby potężny młot, spadnie na Burów, rozmiażdży ich i nikt...

Niewątpliwie Anglicy są bardzo mądrzy. Prostym, zdrowym rozsądkiem dawno zrzucili z siebie wiele kłopotów, z którymi inne społeczeństwa nie umieją sobie poradzić. Głupota musi zawsze pływać w sosie śmieszności. Oficer węgierski, który odmówił koledze pojedynku skutkiem swych przekonań chrześciańskich, niepozwalających mu stawać do takiej walki: książę hiszpański, który publicznym listem pochwalił konsekwencyę oficera; arcybiskup wiedeński, który przyłączył się do nich i wywołał ruch przeciwko barbarzyńskiemu zwyczajowi, byliby może podorwali mu korzenie, gdyby im nie przeszkodził... papież, który oświadczył, że kodeks honoru jest obecnie ważniejszy, niż ewangelia. Dziwna rzecz, Anglicy nie znają pojedynków i umieją bronić swego honoru. O, umieją!

Chamberlain, niecierpliwy grabarz, stoi z łopatą przy głębokim dole i krzyczy na Burów, ażeby co prędzej położyli się do grobu. Oni wyciągają błagalne ręce.

Od wielu lat daremnie poszukuję u nas lorda Kelwina. Anglicy umieją również wielkiemi zasługami przeciwważać swoje zaborcze zbrodnie. Coby taki Thompson, bogaty pan, robił gdzieindziej, a zwłaszcza nad Wisłą? Grałby w karty, hodował konie wyścigowe, cudzołożył, zmykał przed napastniczą filantropią i pielęgnował narastającą na nim skorupę samolubstwa. Tam Thompson, nawet jako lord Kelwin, zdumiewa świat swojemi pracami naukowemi. Bijemy czołem przed najzwyczajniejszem *hr.* Przed takim dostojnikiem trzeba chyba rozbijać sobie czaszki od pokłonów. A może właśnie on by nam nie imponował. Lord Salisbury jest również uczonym...

I ten człowiek zapisze w historyi wspomnienie pozgonne Burom? Nie ich nie ocali, nic?

Ktoś mi opowiadał, że w sklepach londyńskich można widzieć takie objaśnienia: kilo winogron francuskich 1 szyling, kilo winogron angielskich 1½ szyliga. U nas przeciwnie: towar krajowy ma cenę niższą, zagraniczny, a zwłaszcza angielski — wyższą. A jeśli już nie sam towar, to przynajmniej jego nazwa musi być cudzoziemską, jeśli ma zyskać popyt. Z jaką to dumą będzie kiedyś patryota nadwiślański mówił: mieszkam w hotelu Bristol! A gdyby ten hotel nazywał się: Ojców lub Kazimierz, stawaliby w nim tylko ci, którzy sami odnoszą z dworca kolejowego swoje tłomoczki lub dają portyerom przy odjeździe fałszywe czterdziestówki.

Jeszcze nieszczęśliwe rozbitki walczą, ale bez nadziei? Niema więc już żadnego, żadnego ratunku dla Burów?

Ach, te pasma babiego lata! Omotały mnie całkowicie i niepodobna od nich się uwolnić. Na miedzy wytrysnął świeży kwiatek. Nie boi się jesieni. Gdyby chociaż kilka nocy było dla niego ciepłych! Żyłby króciutko, ale szczęśliwie...

Nieodwołalnie zginą. Ich mogiła zamknie się cicho, a zapłaczą na niej tylko krokodyle.

Przypominam sobie wypadek, jaki przed paru laty zdarzył się na szosie brzeskiej. Jechał do Warszawy w nocy żyd ze szcze-

ciną. Wypadło do niego kilku rabusiów; ponieważ jednak szczecina stanowiła cały jego majątek, usiłował ją (nie siebie) bronić. Rozjątrzeni zbóje dobyli nożów, rozłożyli go na furze i zaczęli krajać. Stanęli jednak przed sądem, który nie mógł ich ukarać z powodu braku świadków. Burowie bronią również bohatersko swojej szczeciny, Anglicy krają ich nożami, ale dlaczegóż przynajmniej napastnicy nie będą postawieni przed sądem?.. Przed jakim? Wszakże takiego trybunału niema, chociaż już przygotowano dla niego prawa.

Czyli Burowie muszą zginąć.

Uprzykrzona nić babiego lata. Osnuwa mi każdą myśl. Miedza doprowadziła mnie do potoku, który cicho przesuwał swoje płytkie fale. Nawet taka woda magnetyzuje. Usiadłem nad brzegiem i zacząłem rzucać w strumień myśli, jak oberwane liście, które on w dal odnosił.

Czemu Wisła dotąd nieobulwarowana? Czy nowa komisya zgładzi ten grzech naszego niedbalstwa? Podobno w Transwalu rzeki wzbierają gwałtownie...

Znowu Burowie... znowu to babie lato! Cóż to, mieliby oni być kąsającą żmiją w mojem niewinnem sumieniu, kiedy dla winnych są tylko nieprzyjemnie brzęczącym komarem, od którego one się oganiają niecierpliwie? Daj ty mi spokój, smutna maro, nie dręcz mnie.

*Poseł Prawdy.*

## BADANIA NAUKOWE.

# Margrabia Wielopolski.

Z powodu pracy W. Przyborowskiego: *Historya sześciu miesięcy.* Ustęp z dziejów 1862 roku. Petersburg, 1901.

—•—

Książka p. Walerego Przyborowskiego ogarnia dzieje sześciu miesięcy 1862 roku, tych miesięcy, kiedy u steru rządów znajdował się Aleksander margrabia Wielopolski, a losy narodu poniekąd ważyły się. Nie będziemy zastanawiali się ani nad treścią dzieła, ani nad oświetleniem osób, a każdy, kto jej ciekaw, może sam osobiście z nią się zaznajomić. Natomiast pragnęlibyśmy zatrzymać się nad sylwetką męża stanu, w którego ręku spoczywała taka znaczna władza i na którym ciążyła większa jeszcze odpowiedzialność. Pomimo czterdziestu lat prawie, oddzielających nas od wypadków i ludzi ówczesnych, są oni jeszcze zanadto blizcy, ażeby przedmiotowo patrzeć na rzeczy i osobistości. Zwłaszcza margrabia Wielopolski zanadto jest związany z każdem ogniwem zdarzeń, ażeby można było spodziewać się bezstronności od dziejopisarzów, którzy imają się opisu tego okresu historyi naszej. Walery Przyborowski wyróżnia się z pośród wielu innych tem, iż chociaż sympatyzuje z zamiarami i ideowem stanowiskiem margrabiego, przecież nie ukrywa błędów jego. Sylwetka Wielopolskiego, może jedyna w całej książce, zarysowywa się z całą przejrzystością i wyrazistością w umyśle czytelnika, jest jako żywa. A w tym obrazie zmarłego męża stanu zwłaszcza jedno rzuca się w oczy, a mianowicie to, iż pomimo wszystkiego nie był on stworzony na męża stanu podczas epoki burzliwej, ani zdolnościami swemi nie dorósł zadań, jakich się podjął.

Aleksander margrabia Wielopolski wielu stronami charakteru swego przypomina Żelaznego kanclerza. Lecz Bismarck przewyższał go pewnym przymiotem ducha, bez którego mąż stanu jest mężem stanu tylko z imienia i stanowiska, ale nie z owoców swojej zapobiegliwości. Zmarły kanclerz państwa niemieckiego posiadał pewien takt organiczny, sprawiający, że nietylko widział cel, do którego zmierzał, lecz również umiał wybrać środki, zapewniające urzeczywistnienie tego, czego dokonać pragnął. Ta umiejętność oryentowania się w drogach, prowadzących do celu, może nawet była znaczniejszą, niż wszelka inna działalność jego ducha, bo nawet nie posiadając jeszcze jasnej świadomości własnego zamiaru, stwarzał dokoła siebie sytuacyę, która umożliwiała coraz większy rozmach dla samej działalności i w potrzebie dostarczała środków zrealizowania dawnych celów lub powzięcia nowych. Możemy z całą stanowczością twierdzić, iż czyny Bismarcka wyprzedzały myśl jego — w naturze jego tkwiła jakaś rzutkość żywiołowa, intuicya postępków, jeszcze nie obrachowana na pewien wyraźnie określony cel, a przecież gromadząca potrzebne na przyszłość warunki. Jak pająk przędzie pajęczynę, nie uświadamiając sobie na razie, w jaki sposób z niej korzysta, tak pierwszy kanclerz rzeszy niemieckiej dokoła siebie organizował stosunki, gromadził sprzymierzeńców, obezwładniał przeciwników. A gdy dochodziło do ich wyzyskania, był jako sternik doświadczony, obdarzony umiejętnością znalezienia drogi wśród ciemności i korzystający ze wskazówek, których natury nie zdołałby nawet sformułować należycie, lecz czuł ich obecność i przyrodę całem jestestwem swojem. Przeciwnicy księcia Żelaznego niejednokrotnie podnosili w napaściach swoich taki względny brak celowości świadomej. W tej żywiołowej a niekiedy świadomej działalności, organizującej pierwiastki przyszłego, a tem bardziej już uświadomionego celu, nie znał on żadnych skrupułów, a raczej nie kierował się żadną z góry powziętą doktryną co do narzędzi swoich i środków działania, wiązał się przymierzem z najgorszymi swymi antagonistami, obezwładniał ich ustępstwami, które zresztą były raczej ustępstwami co do formy, niż co do treści, powoływał do życia urządzenia, których był ongi nieprzejednanym, zdawało się, przeciwnikiem, a teraz stawał się twórcą, gdy okazało się, iż otrzymane korzyści przeważą na szali wypadków skutki ujemne. Sojusze te wahały się w tak znacznych granicach, iż gdy na jednym krańcu ich zarysowywa się Lassalle, to z drugiego wynurza się osobistość Windthorsta z jego sztabem feodalno-ultramontańskim. A przecież pomimo tych zbliżeń, na pozór tak potwornych z jego stanowiska, Bismarck pozostał zawsze tym samym Bismarckiem, junkrem-Prusakiem, wyzyskującym wszelką sytuacyę, ale nigdy nieprzeniewierzającym się duchowi swoich przekonań. Był to z charakteru swego i ideałów zaiste żelazny mąż stanu, ale żelazo to miało giętkość i sprężystość kauczuku.

Żelazny margrabia nie posiadał właśnie takiej elastyczności, bez której mąż stanu może jasno widzieć cele swoje, ale której pozbawiony, nigdy działalnością swoją nie osiągnie rezultatów praktycznych.

W lipcu otworzył salony swoje w pałacu Brublowskim. „Można było — pisze p. W. Przyborowski — rozpocząć przyjęcia towarzyskie, co było koniecznem; zbliżyć się nieco do towarzystwa warszawskiego, które stało jakoś na uboczu i z niezadowoleniem przed siebie spoglądało. Margrabia nigdy wielkich stosunków nie miał: jednych odstręczała jego duma, z innymi on sam żyć nie chciał. Sam był wśród swoich mało towarzyskim, choć w Petersburgu między obcymi okazał wiele przymiotów światowych. W domu był zawsze milczący i chmurny. Wszystko to nie mogło ułatwić zawiązania nici towarzyskiej między pałacem Brublowskim a wielkim światem szlacheckim i mieszczańskim Warszawy, że już pominiemy względy polityczne, z którymi świat ten liczyć się chciał i liczył się w rzeczy samej... Nudno było na margrabskich wieczorach. Cały charakter zebrania był sztywny, zimny i urzędowy. Sam margrabia pokazywał się dość późno, niekiedy z zasępioną i chmurną twarzą przechadzał się powoli, rzucając słówka o ludziach i rzeczach, zwykle bardzo zjadliwe, które nazajutrz całe miasto powtarzało, które zresztą w tym celu były wygłaszane. Ręki prawie nikomu nie podawał, czasem umyślnie dobywał chustkę od nosa, aby witających oszukać i skwapliwie wyciągniętą dłoń zostawić w powietrzu. Każde jego słowo na tych wieczorach nieskończenie nudnych i przykrych, było obliczone, każdy gest obrachowany, każde zbliżenie się do kogoś miało znaczenie. Gdy się pojawił, wszystkie oczy były nań zwrócone, wszystkie uszy z wytężeniem słuchały, co z ust jego padnie. Niekiedy zatrzymywał się na środku salonu i tworzył dokoła siebie, jak monarcha, *cercle*, ale o polityce nigdy nie mówiono. Zrazu dość wielka ciżba poniedziałkowych wieczorów zaczęła się zmniejszać i salony pałacu Brühlowskiego pustoszały straszliwie.“

Przytoczyliśmy ten względnie dłuższy ustęp, ponieważ obrazek ten, z życia towarzyskiego, zawarł w sobie jakby charakterystykę całego postępowania margrabiego i w życiu publicznem. Traktowanie ludzi, bez względu na ich wpływy i stosunki, było to samo, a oschłość, duma i mściwość stanowiły zasadnicze rysy jego taktyki politycznej, co naturalnie nie zjednywało sprzymierzeńców, ani nie ułatwiało planów. Kiedy udają się do niego delegaci bardziej wpływowego koła ziemiańskiego, traktuje ich z niechęcią, a nie mogąc odprawić, zaprowadza do ciasnego pokoiku, znajdującego się w sieni i zajmowanego przez szwajcara pałacowego. Próby jeśli nie zbliżenia, to przynajmniej porozumienia powtarzają się parokrotnie ze strony żywiołów, wprawdzie odmiennego zdania, niż margrabia, ale, bądź co bądź, niechętnie i z obawą spoglądających na nadchodzącą zawieruchę dziejową — z tym samym skutkiem, tj. bez skutku. Zwłaszcza nieumiejętność korzystania z cudzych dobrych chęci jaskrawo wychodzi na jaw w stosunku do przedstawicieli prasy. A tymczasem, przy oględniejszem postępowaniu, zdołałby znaleźć tam sprzymierzeńców, cieszących się, jak Kraszewski, poważaniem u szerokich kół narodu. Ale miał on pilniejsze zadania, a mianowicie przypomnienia jej, że kiedyś dojadła mu do żywego... Zrobimy znowu najlepiej, gdy damy słowo samemu p. W. Przyborowskiemu. „Margrabia, po za osobistą zemstą na prasie warszawskiej za dawne urazy, chciał ją zmusić do wyjścia z bierności i podjęcia walki w jego obronie, do uznawania i wychwalania jego teoryj i jego czynów. Następstwem tego było to, że nawet wtedy dzienniki warszawskie milczały, gdy postępowanie Wielopolskiego uznawały za dobre i zbawienne dla kraju. Tym sposobem margrabia przez swe zachowanie arbitralne i drażniące, przez zakazy, gwałcące najprostsze zasady sprawiedliwości, przez dodawanie do tych zakazów gryzącej ironii, przez nieszlachetne deptanie skrępowanej prasy warszawskiej, stworzył sobie z niej najzaciętszego wroga, kiedy mógł mieć przyjaciela, i to mu historya na szali win jego policzyć musi.“ W stosunku do Kraszewskiego mściwy charakter margrabiego zapominał o tem, co wybitny powieściopisarz pisał na jego korzyść, oraz że istnieją pomiędzy nimi pewne wspólne punkty, ale doskonale pamiętał, że jest to umysł samodzielny, umiejący podpatrzeć słabe strony taktyki Wielopolskiego. W artykule wstępnym, zamieszczonym z okazyi wigilii Bożego Narodzenia, Kraszewski pisał o pokorze: „Kochamy, ale wybieramy,

czego serce zapragnie, nie pracując na to, aby miłowało bez wyboru, bo nam brak przedewszystkiem pokory, tej cnoty przygotowującej miłość, a egoizm nieprzepartym murem oddala nas od świata. Gdybyśmy umieli być pokorni, jakbyśmy wielcy być mogli! gdybyśmy nie chcieli królować, jakbyśmy wielką posiedli potęgę! Społeczność nasza nadewszystko boleje na dumę. Pokorą tylko człowiek odtrąca upokorzenia, pokorą idzie do pracy, do doskonałości, do opanowania siebie, bez którego nic też opanować nie potrafi.“ Czytelnicy dojrzeli w tym artykule aluzyę do Wielopolskiego, co jest rzeczą możliwą. Kraszewski formułował swe wymagania od męża stanu, żądał od niego pokory chrześciańskiej, co w gruncie rzeczy przedstawia tylko niezręczne wypowiedzenie braku w Żelaznym margrabim przymiotów giętkości dyplomatycznej. Skończyło się na tem, iż powieściopisarz musiał kraj opuścić. „Było to wygnanie człowieka — pisze autor „Historyi sześciu miesięcy“ — człowieka, który, dobrze użyty, mógł niemałą stanowić podporę dla nowych rządów polskich.“

Nie umiejąc dziergać sieci kompromisow, ani dla widoków przyszłej własnej działalności poświęcać uraz osobistych, ani wreszcie jednać sobie opinii publicznej, Wielopolski w wielu razach postępował w sposób, bez najmniejszej potrzeby drażniący ludzi obojętnych, lub, co gorsza, zachowaniem swojem jątrzył ich jak gdyby umyślnie. Podczas wezbrania namiętności mąż stanu powinien wiedzieć, iż daremną rzeczą jest przemawiać do umysłów, lecz trzeba zwracać się do uczuć, uspakajając je, a tem mniej dolewać oliwy do ognia. Tymczasem działalność margrabiego odznacza się właśnie sporą dozą nietylko ironii, ale naigrawania się, a poniekąd nawet rozgrzebywania zarzewia, czego wynikiem było silniejsze wydobywanie się płomieni. A kiedy w następstwie jego działalności stosunki zaostrzyły się, w dziwny sposób zerwał związek z tętnem życia i wreszcie przestał zdawać sobie sprawę z tego, co dokoła niego wrzało. Skutki branki, dokonanej w formie projektowanej przez Wielopolskiego, były dla wszystkich widoczne, krom niego samego. Ambasador rosyjski przy dworze belgijskim, ks. Orłow, spostrzegał je w oddaleniu i umyślnie przyjeżdżał do Warszawy, ażeby Wielopolskiemu przedstawić wszystkie następstwa takiego czynu, ale spotkał się z nieugiętością i niezrozumieniem rzeczy, oraz jedyną na wszystkie argumenty odpowiedzią: „Niechaj wrzód wzbierze — wtedy rozciętym zostanie.“

Nie zapuszczamy się w kreślenie charakterystyki przekonań i poglądów margrabiego, gdyż są one dostatecznie znane, chociaż nie możemy pominąć milczeniem tego szczegółu, że o nich wiemy dzisiaj więcej my, niż ówczesne jego własne otoczenie, ani tego podejrzenia, że wiemy więcej, niż... sam Wielopolski. Chodziło nam jedynie o zdolności i przymioty praktycznego męża stanu. Należał on do tego rodzaju natur, które zwykle nazywamy doktrynerskiemi. Przypominał pana z czasów pańszczyznianych, który przyzwyczaił się gospodarować według odpowiednich zasad i wykazuje zupełną nieudolność, a nawet nierozumienie sytuacyi, ilekroć znajdzie się w warunkach odmiennych. Innemi słowy, pomimo jak najlepszego mniemania o sobie, nie był stworzony na męża stanu, tak samo jak energiczny i gospodarny włodarz folwarczny może okazać się zgoła niestosownym na stanowisku organizatora nowych planów produkcyi.

*K. R. Ż.*

*Prace filologiczne*, wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza i A. A. Kryńskiego. Z zapomogi Kasy dr. Mianowskiego. Tom V, zeszyt III. Warszawa, 1899 r.

Lwią część tego zeszytu stanowią „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego;“ zebrane przez p. Hieronima Łopacińskiego, któremu, za mozolną i pełną zasługi pracę, hołd uznania składamy. Radzi byśmy atoli byli, gdyby p. Ł. uwzględniając istotną naturę dźwięków, zastosował do swojego słownika pisownię dźwiękową (fonetyczną), która tem się różni od powszechnie przyjętej literackiej, że, będąc ściślejszem wymowy odbiciem, podatniejszy dla lingwinisty przedstawia materyał. Pisownia np. latoperz=nietoperz, nasuwa pewne wątpliwości co do wymowy ludowej; zwłaszcza, że w wyrazie *nietoperz* pojawia się *y* lub *i* we wszystkich narzeczach słowiańskich z wyjątkiem może dolno-łużyckiego: njetopur obok njetopyr i górno-łużyckiego njetopor. Są nawet gwary polskie, jak np. kaszubska, wielkopolska pod Poznaniem, Szamotułami, Obornikiem i Szremem, tudzież pewne odmiany gwar małopolskich, w których *i y* wyręcza się przez *e* czyste. Zjawisko to nierzadkie nawet w pomnikach języka staropolskiego, jak w Rotach przysiąg sieradzkich *): Domenik (116), Sołteskiemu (60, 61). W gwarze lasowskiej wymawia się w tym wypadku *e* ścieśnione np. sierota. Wymienione więc wyżej względy skłaniają nas do udania się z prośbą do autora, aby raczył bądź opisać dźwięk *e* w latopérz, bądź też zmienić pisownię literacką na dźwiękową.

W dr. Dobrzyckim witamy nowego współpracownika „Prac filologicznych.“ Sądząc z jego recenzyi Florinskiego o narzeczach słowiańskich, wróżymy mu pomyślną w lingwistyce przyszłość, lubo nie podzielamy zdania jego, jakoby „rzecz prof. Florinskiego była pierwszą próbą tego rodzaju.“ Recenzent, przytoczywszy te słowa, ma tu na myśli historyę języka polskiego. Wprawdzie nie możemy poszczycić się jeszcze dziełem pomnikowem w tej gałęzi, ale bądź co bądź w pracach pp. Nehringa, Kaliny i Hanusza mamy już pierwsze próby, rozprawy i szkice, o jakich p. D. wspomina. Lingwistyka zakwitnąć u nas nie może. Nie umiemy zachęcić publiczności przez odczyty i artykuły popularne, chowając wiedzę naszą pod korcem.

Temuż recenzentowi zawdzięczamy wyjaśnienie pewnej kwestyi co do pieśni, przypisywanej błogosław. Władysławowi z Gielniowa, a zaczynającej się od słów: „Jezusa Judasz przedał.“ Jest to nic innego, jak przekład pieśni czeskiej, rozszerzony i uzupełniony przez pomienionego Władysława. Coś podobnego odnieść należy do fragmentu z „Życia N. Maryi Panny“ z XV w. Tekst jest przeróbką tłomaczenia czeskiego. Właściwym oryginałem nazwać można tekst grecki, przełożony na łaciński, z którego znowu powstało tłomaczenie czeskie.

Sprawozdania i wiadomości bibliograficzne uzupełniają ten zeszyt. Żałować należy, że redakcya zaniedbała poświęcić obszerniejszy rozbiór pracom Jana Bystronia, Koszuticza Radowana, Soerensena Asmusa, Delbrücka, Leskona Wiedemanna i „Słownikowi języka polskiego“ J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i Wł. Niedźwiedzkiego.

Pożądane są w „Pracach“ rozprawy samodzielne z głosowni, morfologii, fleksyi i składni, których brak widoczny szkodzi wydawnictwu.

*Justyn Feliks Gajsler.*

*) Nehring: *Altpolnische (Posener) Eidesformel aus dem XIV Jahrhundert (Archiw fur slavische Philologie, IV).*

## NOTATKI NAUKOWE.

— W Weimarze, gdzie świeżo zmarły filozof Nietzsche spędził ostatnie lata życia, założono t. zw: „Archiwum Nietzschego,“ gdzie zgromadzono 51 zeszytów prac filozoficznych, 64 — z bruljonami prac zaczętych treści ogólnej, 16 rękopisów przygotowanych do druku, 157 zeszytów różnego formatu i kilkanaście tek luźnych kartek. Porządkowaniem tych rękopisów zajmuje się siostra zmarłego, pani dr. Forster, oraz dr. Koegel i v. d. Hellen. Z liczby nieukończonych prac ogłoszono dotychczas część pierwszą szeroko pomyślanego dzieła: *Der Wille zur Macht. Versuch einer Umwertung aller Werte* p. t. *Der Antichrist* (1895). Następne części noszą tytuł: 2) „Wolny Duch,“ krytyka filozofii jako ruchu nihilistycznego; 3) „Immoralista,“ krytyka najniebezpieczniejszego rodzaju nieznajomości moralności; 4) „Dyonizyusz,“ filozofia wiecznego powrotu.

— *Die Schweiz im XIX Jahrhundert.* Bern, 1900 (Schmidt i Francke), t. I (z licznemi ilustracyami). Pod redakcyą prof. P. Scippela. Pierwszy, wydany dotychczas tom tej obszernej pracy zbiorowej (całość ma się zawrzeć w trzech dużych tomach), obejmuje: 1) Rzut oka na polityczne, społeczne i duchowe życie Szwajcaryi w końcu XVIII stulecia — pióra T. v. Libenau. 2) Dzieje federacyi szwajcarskiej w XIX w., przez niedawno zmarłego szwajc. męża stanu, Numę Droza. 3) Prawo polityczne (ustrój państwowy), p. prof. Karola Hilty'ego. 4) Wojskowość, p. pułk. Secretana. 5) Stosunki międzynarodowe, p. prof. Röthlisbergera. Dwa następne tomy poświęcone będą rolnictwu, handlowi, przemysłowi, oświacie, literaturze, sztukom pięknym itd. (*J. H.*)

— Na zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Akwizgranie (20 września r. b.) dr. Schmidt Monard z Halli miał wykład o niezdolnych dzieciach w szkołach. Autor badał je (126) w szkole pomocniczej dla dzieci upośledzonych pod względem uzdolnienia. (Od r. 1898 w 7,000 szkołach niemieckich urządzono klasy równoległe dla dzieci niezdolnych, o programie mniej obszernym). Autor przekonał się, że upośledzeniu umysłowemu odpowiada w największej ilości wypadków niedorozwój fizyczny. Pod względem wzrostu i wagi są one młodsze od swoich towarzyszów o 1—1½ roku, a pod względem umysłowym stoją na poziomie 2—4-letniego dziecka. Przyczyn należy szukać w stosunkach społecznych. W 40% wypadków rodzice byli upośledzeni pod względem moralnym. Rodziny alkoholików nie wydają dobrych uczniów. Zdolność słuchu była rozwinięta tylko w $^1/_{10}$ wypadków. Schmidt domaga się opieki lekarskiej stałej w tych szkołach, stałego leczenia przez specyalistów itp.

## LITERATURA I SZTUKA.

### PRZEGLĄD TEATRALNY.

*Ludwik XI*, tragedya w 5 aktach Kazimierza Delavigne'a. — *Dyletanci*, studyum sceniczne w 4 aktach Zofii Wójcickiej. — *Otchłań*, dramat w 4 aktach Tadeusza Konczyńskiego. — *Montjoyé*, dramat w 5 aktach Oktawiusza Feuilleta.

Repertuar naszego dramatu i komedyi wywiera wciąż jeszcze wrażenie mężatki, która już dawno przekroczyła trzydziestkę, ale nie zdążyła pozbyć się marzeń o zakazanej miłości. Więc w swym pościgu za upragnionym kochankiem nie może już dzisiaj bawić się w wybredność i z konieczności rządzić się mu-

si oportunistyczną zasadą: co na placu, to nieprzyjaciel. Na prawo prześle obiecujące spojrzenie w stronę podżyłego już dobrze doktora lub mecenasa, na lewo spróbuje siły swych wdzięków na posiwiałym oddawna w służbie Amora weteranie, lecz jednocześnie gotowa oddać się miłemu flirtowi ze świeżo obleczonym w mundur uniwersytecki kuzynkiem, lub nawet z jego młodszym bratem — gimnazistą.

Przeciwko wszechstronności takiej — w teatrze, naturalnie, bo wyrokowanie w sprawie dam flirtujących przechodzi zakres naszej kompetencyi — trudno mieć cośkolwiek w zasadzie, byleby przytem liczono się choć trochę z wymaganiami tej „sztuki prawdziwej,“ o której u nas mówi się i pisze bardzo dużo, a dba się... lepiej nie dotykać tej sprawy. Z przykrością jednak stwierdzić raz jeszcze musimy, że ostatnie nowości, a zwłaszcza wznowienia naszej sceny, w słabym bardzo stopniu odpowiadają pod tym względem wybredniejszym nieco wymaganiom i są w dalszym ciągu ogniwami tego łańcucha przypadkowości, który od pewnego czasu, może skutkiem częstych zmian reżyseryi, odgrywa u nas w sprawach teatralnych rolę berła kierowniczego.

Na zakończenie „sezonu letniego“ kazano nam podziwiać w ogrodzie Saskim dwie dosyć dziwne próby. Pierwszą z nich było wznowienie pięcioaktowej tragedyi wierszem Kazimierza Delavigne'a p. t. „Ludwik XI,“ która już u dziadków naszych zjednała sobie opinię rzeczy, pisanej bez talentu, pozbawionej wątku dramatycznego i nadewszystko — nudnej. Drugą — wystawienie czegoś w rodzaju wypracowania szkolnego dwudziestoletniej podobno autorki, p. Zofii Wójcickiej, która nawet, jak na pilną pensyonarkę przystoi, otrzymała za swych „Dyletantów“ jakąś nagrodę; naturalnie, na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego we Lwowie.

Nagroda konkursowa, chociażby druga i w dodatku otrzymana we Lwowie, jest u nas dotąd czemś w rodzaju *passe partout*, ułatwiającego młodym autorom debiut „na pierwszej,“ jak się z dumą mówi, scenie polskiej. Czasem nawet, jeżeli zwłaszcza połączy się z nią ciekawa bajka lub efektowna wystawa, potrafi ona na pewien czas zapewnić lichej kompilacyi motywów cudzych względne powodzenie u pewnej części publiczności, gotowej zawsze przysięgać *in verba magistri*. Nie zapewniła tym razem, ale bo też utwór młodej autorki jest jeszcze bardzo niedojrzały w założeniu samem, a szczegóły, choć tu i owdzie świadczą może o pewnym talencie i zdolności obserwacyjnej, nie dają w sumie tchnienia prawdy życiowej i nie wzruszają potęgą kolizyj dramatycznych. Znużony szeregiem scen bezbarwnych, widz w końcu zadać sobie musi pytanie, gdzie ostatecznie po za młodzieńczą bardzo wyobraźnią własną, widziała autorka takich ojców, wydających na łożu śmiertelnem rozporządzenia śmieszne, aby jedno z jego dzieci zdobyło koniecznie wawrzyny artystyczne, gdzie udało jej się spotkać córki, usiłujące w równie przenaiwny sposób spełnić taki rozkaz rodzica. Lecz, mimo wszystko, przyznajemy chętnie, że wolimy już na scenie nieudane nawet próby piór młodych, byle w nich tliła istotnie jakaś iskra talentu, niż takie publiczne okurzanie starzyzny, jakiem była lekcya poglądowa historyi powszechnej, z panami Ładnowskim i Żelazowskim, występującymi kolejno w roli Ludwika XI. Szło tu, rzecz prosta, wyłącznie o popis gry aktorskiej. Jakkolwiek on wypadł dla obu artystów, którzy uplastycznić mieli publiczności naszej postać potężnego bicza możnowładztwa francuskiego w wieku piętnastym, prawdziwa sztuka zyskała na tem niewiele. Czyżby nie lepiej już było, gdy o popis taki chodzi, zwracać się częściej do arcydzieł starego Shakespeare'a, który z Delavigne'm przynajmniej mógłby chyba rywalizować nie bez powodzenia?...

Ze wszystkich nowości i wznowień, któreśmy widzieli w tym czasie, największe zajęcie wzbudził słusznie czteroaktowy dramat młodego również, lecz wyrosłego już z niemowlęctwa autora, p. Tadeusza Konczyńskiego, p. t. „Otchłań,“ wystawiony świeżo w teatrze Rozmaitości na zainaugurowanie „sezonu“ jesiennego i zimowego. Nie wiemy, czy i jakie stosunki łączą twórcę „Otchłani“ z trąbiącym dziś tak głośno o sobie „młodym Krakowem“; usłużny reporter, który dojrzał w jego oczach czarnych (na trawiurce z fotografii) myśl, przenikliwość i bystrość, a w fizyognomii całej rozlaną powagę, i zapowiedział z góry, że za lat parę młody dramaturg obejmie katedrę literatury angielskiej na wszechnicy Jagiellońskiej, zapomniał nas o tem poinformować. Tym razem jednak, istotnie, młody czy stary Kraków nie może mieć żalu do publiczności warszawskiej, która odrazu przyjęła sztukę p. Konczyńskiego życzliwie, a nawet gorąco.

W znacznym stopniu przyczyniła się do tego niewątpliwie jej treść sensacyjna, osnuta na tle głośnych dziś w Galicyi nadużyć i matactw bankowych i umiejąca utrzymać od początku do końca uwagę widza w naprężeniu. Lecz po za tą „aktualnością,“ do której zwolenników w sztuce nie należymy bynajmniej, dramat p. Konczyńskiego ma jeszcze coś więcej, co rzeczywiście wynosi go po nad poziom zwykłych fabrykantów scenicznych i zapewnić mu może w teatrze powodzenie dłuższe. Jest to mianowicie dobra charakterystyka kilku postaci utworu i umiejętne zarysowanie walki duchowej między jego bohaterami głównymi.

Zawiązanie wątku dramatycznego i w tej sztuce nie należy do szczęśliwych. Łatwowierność, z jaką stary Henryk Hanusz (p. Rapacki) dał się podejść skończonemu łotrowi, Erazmowi Podosockiemu (p. Żelazowski), aż do oddania mu ręki córki i powierzenia faktycznego zarządu obszernemi sprawami majątkowemi, nie licuje z przenikliwością, energią i siłą charakteru, której ten stalowy człowiek składa gdzieindziej dowody. Pewne drobniejsze szczegóły nie zostały również umotywowane należycie, a cały epizod z wyborem Hanusza na prezydenta miasta wydaje nam się zgoła zbytecznym. Po za tem jednak walka pomiędzy dzielnym i prawym ojcem Władysława i Heleny a jadowitym płazem, który się wdarł do ich domu, złamał życie jego córce, zatruł duszę syna, znieprawił w sposób potworny serce młodego dziewczęcia, dokonał wreszcie, przy pomocy urzędnika bankowego Woronka, szeregu malwersacyj pieniężnych, przeprowadzona została od początku do końca z niewątpliwym talentem, co również powiedzieć można o rozmyślnem przeciwstawieniu w sztuce dwóch różnych biegunowo charakterów: ojca i syna. Nie jest to nowe, lecz w danym razie zrobione zostało dobrze, a to dużo znaczy. Sylwetka zwłaszcza młodego dekadenta, Władysława Hanusza (p. Śliwicki), z jego apatyą i nadwrażliwością, z jego chorobliwą, sztucznie rozdmuchaną przez szwagra, namiętnością do salonowej kurtyzany, z budzącymi się od czasu do czasu przebłyskami samowiedzy, energii czy uporu — stanowi prawdziwą ozdobę dramatu młodego autora i wzbogaca naprawdę, zwłaszcza w wybornej grze p. Śliwickiego, galeryę naszych figur scenicznych.

Nie można tego powiedzieć o demonie sztuki, Podosockim, który mimo usiłowań autora zmniejszenia nieco czarności jego charakteru przez podkreślenie czułych pieszczot z ośmioletnią córeczką, zbyt często bez istotnej potrzeby wpadającą, co prawda, na scenę, pozostaje w gruncie rzeczy, nawet w dyskretnej grze p. Żelazowskiego, postacią trochę melodramatyczną. W każdym razie sceny pomiędzy młodym Hanuszem a Podosockim, ta zwłaszcza, w której Władysław, nie mogąc przezwyciężyć zrozumiałego wstrętu do szwagra, nie pozwala mu opierać się o swe krzesło, ani nawet stać w pobliżu, należą do najlepszych w sztuce i świadczą wymownie, lepiej nawet od oryginalnych zakończeń pojedynczych aktów, o talencie pisarskim i zarazem nerwie scenicznym p. Konczyńskiego.

Z innych sylwetek utworu wyróżnić jeszcze należy typ zepsutego do gruntu urzędnika, Hilarego Woronka, odtworzony doskonale przez p. Szymanowskiego. Z figur kobiecych — jedna właściwie żywa i wesoła Marya, psuta systematycznie przez Podosockiego, który podsuwa jej w celach ohydnych pornograficzne książki i rysunki, jest ciekawym materyałem psychologicznym, lecz w grze p. Ireny Trapszo, która od pewnego czasu, w pogoni za „biorącymi“ galeryę, efektami, zatraciła dawną szczerość, postać ta nie wywiera wrażenia. Pani Federowiczowa natomiast grą pełną naturalności i prostoty budzi żywe współczucie dla biernej skądinąd sylwetki Heleny. Wogóle jednak wykonanie sztuki, z małym wyjątkiem w jednej z ról drugorzędnych, było niezwykle dobre. Przodował tym razem kwartet męski: Rapacki, Frenkiel, Śliwicki i Żelazowski.

Na benefis, zdaje się, jednego z wielu pożytecznych pracowników sceny wznowiono jeszcze jedną starą sztukę starego Oktawiusza Feuilleta, p. t. „Montjoye.“ Dlaczego wybrano dzisiaj właśnie tego autora i ten jego dramat — na pytanie to nie podejmujemy się czytelnikowi odpowiedzieć.

*Władysław Bukowiński.*

---

## SZLAKIEM MUZY.

*Berlin, wrzesień.*

### *III. Secesya berlińska.*

(Wrażenia krytyczne).

Symbolów, alegoryj, oryginalnej, śmiałej kompozycyi — oto czego oczekujemy, wchodząc na wystawę z napisem „secesya.“ I mimowoli doznajemy pewnego rozczarowania, kiedy przy pierwszych oględzinach tegorocznej secesyi berlińskiej musimy się tego wszystkiego z trudem doszukiwać i co chwila zadawać sobie pytanie: gdzie ten modernizm? gdzie te „nowe tory?“ Hans Thoma, Liebermann, Uhde, Kalckreuth, Leistikow, Slevogt, Habermann — wśród Niemców, dalej Zorn, Segantini i wielu innych narodowości niemieckiej — to malarze bezsprzecznie bardzo utalentowani i w każdym można nawet odszukać pewne cechy charakterystyczne, danemu artyście właściwe. Z wyżej wymienionych najbogaciej liczebnie wystąpił w tym roku Hans Thoma. Pełnym szczerego liryzmu jest jego „Grajek wioskowy.“ Już zgasło słońce, a zmrok płoszy ostatnie drgnienia jego na ziemi. U płota siedzi młody chłopiec, w rękach ma skrzypki, na kolanach rozłożone nuty i gra. A tęskną snać strąca melodyę ze strun, bo na twarzy smutek widać i zadumę. Nikt z ludzi go nie słucha; jedyny przyjaciel — kot, wysunął się z za drzewa, podniósł ogon, nastawił uszy i patrzy jakby z podziwem na swego pana. Z łąje się jakoby z obrazu szło tchnienie wieczoru, i słychać było cichy płacz samotnej duszy wiejskiego grajka.

W pejzażach Thoma panuje nastrój weselszy; malowane w rannem lub południowem słońcu, mają one w sobie coś pogodnego w jasnych odcieniach zieleni i dalekiej perspektywie łąk i pól. W tych wszystkich obrazach znać talent pierwszej miary, umiejący patrzeć i głęboko odczuwać. Jest jeszcze kilka innych jego prac, osnutych na tle mniej realnem, lecz te nie robią żadnego wrażenia. Taki „Obłok aniołków," przerwany na dwie nierówne części skrzydłami przelatującego orła, nie działa zupełnie swoją fantastycznością, a zasługuje może na wzmiankę tylko ze względu na znakomicie uplastyczniony przestrach i zakłopotanie na pulchnych twarzyczkach aniołków, odciętych od współtowarzyszy. Najlepszym jeszcze z tej drugiej seryi jest bardzo dawny (z 1886 r.) rysunek „Pieta."

Fryderyk Uhde jest daleko szczerszym w swoich płótnach, wyobrażających życie codzienne, niż wtedy nawet, gdy wtłacza w realne ramki postać Chrystusową. Dwa jego obrazy „Chrystus odwiedzający rodzinę chłopską" i „Ucieczka (św. Rodziny) do Egiptu" stoją pod wszystkimi względami o wiele niżej od kilku innych, w tym roku wystawionych.

...W pokoju nieład. Przy stole siedzi piastunka i szyje, a dzieci się bawią. Jedna dziewczynka kołysze lalkę na kolanach i śmieje się do niej, druga starsza, poważniejsza założyła nogę na nogę i haftuje, najmłodsza tańczy z lalką po pokoju, a przez otwarte do połowy kratą zasłonięte okno wygląda na ulicę pajac... To jego „Pokój dziecinny," arcydzieło realizmu i prostoty. Toż samo powiedzieć można o obrazie, na którym dziewczynka strofuje psa. Zwierzę, tuląc uszy, patrzy rozumnemi oczyma na swoją panią („Dziecko z psem").

Leopold Kalckreuth jest malarzem wsi. Najlepsze są dwa jego krajobrazy, wyobrażające pracę na roli... Południe... Słońce pali i zalewa światłem ogromne pole. Zdaleka widać krzątających się jeszcze robotników i próżne wozy. Na pierwszym planie obrazu młody chłop usiadł w cieniu i oparty o ścianę chałupy, toczy kosę („Kosiarz").

...W sąsieku klęczy dziewucha folwarczna, zwrócona twarzą ku otwartym na oścież wieżejom, a ku nim z podwórza zbliżają się dwa wozy, naładowane zbożem („Sąsiek z wozami zboża").

W Kalckreucie podziwiać trzeba przedewszystkiem technikę. Jak naturalnem jest w obydwu obrazach przejście od słonecznych plam do cienia, jak prawdziwym wydaje nam się ten chłop na pierwszym wozie, kierujący końmi tak, ażeby w odpowiedniem miejscu wjechać na klepisko.

Z jedynego obrazu Liebermana, „Chłopcy w kąpieli," nie można wytworzyć sobie należytego pojęcia o talencie tego znakomitego malarza. Bardziej nastrojowym w pejzażach swoich jest Walter Leistikow, jeden z pierwszych secesyonistów niemieckich. Nie maluje wprawdzie morza, natomiast jego jeziora o zmroku są czasami niezrównane. Szczególnie pięknem jest w tym roku jego „Słońce wieczorne," złocące jeszcze wierzchołki drzew, kiedy po małem jeziorze wśród zielonych łąk snują się już cienie zmierzchu.

Ludwik Hoffman, również jeden z twórców modernizmu w malarstwie niemieckiem, wystawił kilka dziwactw w rodzaju „Pejzażu ornamentacyjnego" i „Fantazyi kwiatowej," z których pierwszy mógłby rzeczywiście być już raczej jakimś ornamentem o wątpliwej wartości, niż dziełem sztuki, a w drugiej jest wszystko, prócz fantazyi. Miewa on jednak swoje *intervalla lucida*... Brzegiem lasu idzie szereg dziewczyn z dzbankami na głowach; poprzez drzewa słońce rzuca jasne plamy na trawę i oświeca chłopca, pochylonego nad wystającym z po za ram skrawkiem jeziora... To „Chłopak, czerpiący wodę" — obraz olśniewający wprost siłą kolorytu i bogactwem odcieni w barwach.

Rzućmy jeszcze jedno spojrzenie w stronę dobrze malowanych w *pleinair*'ze studyów portretowych Slevogta, w stronę chudych postaci kobiecych Habermana o jednym, oryginalnym typie; porównajmy w myśli w tył przechyloną na grzbiecie pędzącego centaura „Bachantkę" Franciszka Stucka z cenniejszym o wiele „Szałem" naszego Podkowińskiego—i przejdźmy od Niemców do innych narodowości. Tu Szwed, Anders Zorn, przykuwa przedewszystkiem naszą uwagę nie tyle fantastycznością motywów, ile zupełnie oryginalnym, jemu tylko właściwym, słonecznym, perłowym tonem w karnacyi ciała kobiecego, świeżością kolorytu, szerokim rozmachem pędzla. W „Poranku niedzielnym" młoda, jasnowłosa dziewczyna wiejska, naga do połowy, myje się pochylona nad miską; druga kończy swą toaletę niedzielną, kładąc przed kawałkiem lustra wstążkę kolorową na głowę, a trzecia w głębi siedzi już gotowa i opowiada coś wesołego, pokazując szereg zdrowych, białych zębów. Przez małe, zakratowane okna chałupy pada na ciało myjącej się dziewczyny złoty promień słoneczny. „Maja" — to śmiejąca się do życia i użycia Szwedka, której biała szyja i nagie, pulchne ramiona odbijają znakomicie od niebieskiego tła obrazu, rudych włosów i seledynowej sukni. Tutaj i wszędzie ta sama świeżość różowa ciała kobiecego, ten sam żywy koloryt i doskonałe opanowanie techniki. Kto raz widział coś z utworów Zorna, ten go już zawsze i wszędzie odróżni. Zmarły przed rokiem zaledwie Włoch Segantini ma w sobie również rysy oryginalne. Technicznie zbliża się może najbardziej do szkoły t. zw. pointillistów, którzy rozkładają barwy na ich pierwiastki, pozostawiając syntezę oku widza. Motywy do swych pejzażów czerpie przeważnie z dzikiej przyrody alpejskiej; dokoła śnieżne szczyty gór, a w dole jakaś scena z życia biednych pastorzy („Pastwisko w Alpach," „Pastuszka"). Ten kontrast wielkiej, bezlitośnej siły przyrody z twardą dolą ludzką wywiera smutne, głębokie wrażenie.

Paryżaninowi Vallotonowi chodzi natomiast o wywołanie efektów komicznych. „Nad brzegiem morza"—to świetnie, przyznać trzeba — malowana fraszka. U samego brzegu morza o barwie ciemnobłękitnej siedzi tłum ludzi, odwróconych od widza tyłem tak, że widać tylko różnobarwne parasolki i kapelusze.

Jeżeli sądzić z tegorocznej secesyi tutejszej, to w rzeźbie współczesnej znaleźć można więcej przebłysków fantazyi i polotu poetyckiego, niż w malarstwie. Znany powszechnie za granicą Belgijczyk Constantin Meunier, symbolizuje ciężką pracę fizyczną. Płaskorzeźba „Robotnicy nad morzem," wpędzający w wodę parę wystraszonych koni, oddzielne postaci „Hutnika," „Tragarza" i innych — to w spiż lub gips zaklęte pierwiastki pracy i związane z nią uczucia. Siła niemal nadludzka tryska z napiętych mięśni tych ludzi, na ich twarzach znać odwagę, hart ducha, a na pooranem bruzdami czole „Starego górnika" ciężką troskę i znużenie.

August Rodin wystawił tylko jedną rzeźbę — trzy kurczowo obejmujące się wzajem ciała kobiece z przechylonemi w tył głowami i dziką rozpaczą w oczach („Tors leżący"). Z Niemców obok Adolfa Hildebrandta (kilka w marmurze i bronzie rzeźbionych biustów i płaskorzeźb znakomitych ludzi) wyróżniają się Mikołaj Friedrich i Marcin Sschauss. Pierwszy wyobraża pragnienie pieszczoty w kobiecie pod postacią młodej dziewczyny, gładzącej grzbiet kotki, która łaszczy się do jej nóg.

Wróćmy jeszcze raz do malarstwa dla Böcklina. W zeszłym roku prasa europejska rozpuściła pogłoskę o jego śmierci. Nie umarł jeszcze; widzimy nawet dwa zupełnie nowe jego obrazy: jeden „Tryptyk" z zeszłego roku i tegoroczną pierwszy raz wystawioną „Melancholię."

Nie umarł jeszcze, ale znać w tych nowych jego dziełach starość: są to już tylko wspomnienia wielkiej przeszłości. Wyczerpały się złotodajne źródła fantazyi twórczej, niema już w nim tej siły wyrazu, tej bezpośredniości uczucia.

Środkowa część, najżywiej jeszcze kolorytem przypominająca dawnego Böcklina, wyobraża gąszcz leśny i źródło, a z za drzewa widać młodego chłopca, grającego na fujarce. Dwa boki tryptyku z chatą i parą zakochanych rażą wprost swoją powszedniością. „Melancholia" — to rzecz głębsza, bardziej do dawniejszych zbliżona.

Na ławce z ciemno - szarego marmuru siedzi młoda kobieta o rudych włosach w długim, błękitnym płaszczu i z bolesnym wyrazem twarzy patrzy w otulone kirem lustro, które trzyma w ręce. Dokoła niej cudny pejzaż jesienny: po lewej stronie widać słoneczne wzgórze z wieżycami jakiegoś zamku i szczytami strzelających w niebo cyprysów; po prawej, tuż obok niej — nizina z drzewami o rudo-złotych koronach. Lecz ona nie widzi tego wszystkiego w rzeczywistem świetle; jakby pod zaklęciem jakiemś spogląda w swe lustro, gdzie szarzeją wszystkie blaski, zasnute mrocznym kirem melancholii.

Jeżeli porównać ten obraz z dawnymi, chociażby z tymi nawet, które widzimy w tegorocznej secesyi, to symbolistyka „Melancholii" wydaje nam się trochę robioną, mniej szczerą, mniej bezpośrednio z duszy płynącą. Nie przeszkodzi ona jednak Böcklinowi pozostać jednym z największych symbolistów, jakich kiedykolwiek posiadało malarstwo.

Gdyby Böcklin miał godnych siebie uczniów, mógłby stać się tem dla symbolizmu w malarstwie, czem byli Verlaine i Mallarmé dla literatury. Szkoda, że niema komu objąć „lutni po Bekwarku..."

*Tadeusz Skarga.*

---

## POEZYE

### MGŁY.

O! jak się snują te godziny,
Jak długo płyną i powoli...

Od lasu pomrok idzie siny;
Ko rozłożystej hen topoli,
Co tam na wzgórzu, przy ruczaju
Taka samotna, tęskna rośnie —
Z nad łąki opar wstaje biały.
Smętne się brzozy rozpłakały
Nad ową łąką przy ruczaju,
I cichy idzie szept po gaju,
Tęskniąco czegoś i żałośnie —
To przedwieczorna pora cicha...

Tam, gdzie jałowiec stary rośnie,
Ku tym choinom, ku tej sośnie,
Gdzie mchy zielone, gdzie paprocie
Dźwigają rosy pereł krocie —
Rozwiewna płynie mgła...
I przed spoczynkiem ziemia wzdycha.
Tam, niby piosnka zabrzmi cicha,
Jakiś tęskniące echo wstanie
I na pszenicznym jęknie łanie,
Po rosie płynie, drga...

O! jak się snują te godziny,
Jak długo płyną i powoli!..

Od zoranego szmatu roli
Woń bije mocna, silna, świeża,
Woń ziemi czarnej.
Od pobrzeża
Lasu, gdzie świerki mroczne stoją,
Nadchodzi cicha noc,
A za nią wilgoć płynie, chłód...
I zmaga ziemię dzienny trud,
Zasypia już, zasypia już.
I tylko na niej blade rosy
Jak potu krople duże stoją,
I cała błyszczy srebrną zbroją
Tych ros.

To przedwieczorna pora cicha...

I wstaje z sennych ziół kielicha
Przecudna, słodka woń —
Niby kojący szept do duszy
Płynie, i smutki wszystkie głuszy,
Kołysze, jak do snu.
Fujarki zdala płacze ton —
Pastusza piosnko, dzwoń mi dzwoń!
Znam twój zaklęty głos.

O! jak się snują te godziny,
Jak długo płyną i powoli,
Jak łzy, jak ciężkie łzy...

Oto rozwlekły się po roli
Posępne, szare mgły.
Niby całuny śmierci wiszą,
Na drzew gałęziach się kołyszą,
Ku świerkom płyną, ku topoli,
I zasnuwają tak powoli
Milczący, senny świat
Posępne, szare mgły.
Padają ciężko tam, na strzechy,
Pod wilgotnymi ich oddechy
Drży i zamiera kwiat
I potonęły w chłodnej fali
I nie migocą już z oddali
Światełka chłopskich chat.
Wszędzie się czepi i oplata
Wszystko ich zimna, smętna szata.
. . . . . . . . . . . . . .
Znikąd radości, ni pociechy.
. . . . . . . . . . . . .
Tak wszystkie smutki i uśmiechy,
Wszystkie cierpienia, łzy,
Które w człowieka rwą się łonie,
Ta mgła ogarnia i pochłonie.
. . . . . . . . . . . . .
I tylko mgły... i mgły...

*Marya Markowska.*

## W DALI.

**Dubno.** Głośny proces kryminalny, wytoczony przez urząd prokuratorski znanym na Wołyniu lichwiarzom dubieńskim: Jakóbowi Kahanowi i matce jego Mirli Kahan, zakończył się, niestety, w pierwszej instancyi uwolnieniem lichwiarzy od odpowiedzialności. Opinia publiczna, jednogłośnie przeciw temu powstała, odzywając się głośno, że podsądni pozostawieni po złożeniu kaucyi na wolnej stopie, potrafili przysięgłych, którzy może nie zrozumieli istoty przestępstwa, skutecznie ująć i tym sposobem zabezpieczyli sobie chwilową bezkarność. Prokurator założył protest, wskutek którego senat skasował wyrok i nakazał powtórne sądzenie sprawy w innym sądzie. Przeniesiono więc sprawę do sąsiedniego Ostroga, należącego już do okręgu sądowego nie łuckiego, lecz żytomierskiego. Termin sądzenia był już wyznaczony; gdy jednak spostrzeżono, że bogaci lichwiarze i sami i przez swych agentów wpływają na osobistości pochodzenia włościańskiego, z których mieli być wylosowani nazajutrz przysięgli do sądzenia owej głośnej sprawy, sąd na wniosek prokuratora sprawę odłożył, przenosząc jej rozpoznanie publiczne na następną kadencyę sądu przysięgłych w samym Żytomierzu, aby usunąć tamtejszych przysięgłych od zgubnego wpływu szajki lichwiarzy, tak zgrabnie dotąd operującej. Dla większej zaś pewności sąd okręgowy postanowił uwięzić do tego czasu i syna i matkę Kahanów, nie zadawalając się jednak jak dotąd złożonemi przez nich dość wysokiemi kaucyami (25,000 rb. od każdego posądnego). To naturalnie bardzo skutecznie ich ubezwładni. Osadzono więc natychmiast w więzieniu żytomierskiem panią Mirlę Kahan (matkę); a gdy żadne z ubrań aresztanckich nie nadawało się na nią, z powodu fenomenalnej tuszy, znalazł się niejaki Międzyboski, mieszkaniec Białej Cerkwi, widocznie jedna z wielu ofiar tej znanej pary lichwiarskiej, który oficyalnie na piśmie oświadczył, że z radością gotów jest sprawić na swój rachunek prawem przepisane ubranie aresztanckie dla Mirli, byleby ją tylko z więzienia nie wypuszczano. To już jedno dowodzi, jakiego miru zażywała ona Mirla wśród izraelskiego nawet społeczeństwa. Nie tak jednak łatwa była sprawa z jej synem Jakóbem. Wyraźnie uprzedzony o niebezpieczeństwie, przedwcześnie ulotnił się z Dubna, gdy go chciano aresztować. Policya, spełniając dekret sądu okręgowego, bardzo pilnie szukała go w mieście i dalej nawet w całej okolicy, aż w Kijowie i w Bojarce, gdzie jakiś czas przebywał. Lecz wszystko nadaremnie — dotąd Jakób Kahan na swobodzie, a brat jego, lekarz Kahan, zapytywany urzędownie, miał jakoby cynicznie odpowiedzieć: „Wszak Rosya dość obszerna! Niech go sobie policya poszukuje.“ Oprócz tego—wedle gazety *Kijewlanin* (nr. 224 z 3 września 1900 r.) — ujawnił się fakt bardzo ważny, rzucający ponury odblask na tę sprawę. Werdykt przysięgłych, przeważnie ciemnych włościan, wydany d. 2 listopada 1899 r., zniesiony został w lutym r. b. Tymczasem we wsi Wołkowyjach, w pow. Dubieńskim, d. 16 lipca r. b. powiesił się starosta wiejski, Karol Brodacz, pochodzenia czeskiego, a policya znalazła przy samobójcy list następującej osnowy: „Szanowna gromado! Nie sądźcie mnie zanadto srogo, abyście sami kiedyś nie byli sądzeni. Bądźcie zdrowi i przebaczcie mi: żona, dzieci i wy wszyscy wiejscy sąsiedzi. Zgrzeszyłem ciężko i dlatego muszę z sobą skończyć. Fatalny sąd w Dubnie zgubił mnie ostatecznie. Zhańbiłem siebie, swoją rodzinę, swoje nazwisko! Wyrzuty sumienia strasznie mnie dręczą. Gdyby obecnie Kahanowie dostali się do rąk moich, to poćwiartowałbym ich w kawałki, jak wieprzów. Niech więc będzie przeklętą ta złowroga chwila, kiedy mnie namówili. Odtąd niema dla mnie ani życia, ani snu, ani spokoju!“ (Według *Słowa*).

## NA MARGINESIE.

**Przeobrażenie drzewa.** W pewnej papierni niemieckiej próbowano określić, ile trzeba czasu na to, aby żywe drzewa przerobić na gazetę. Spierano się. Wreszcie zakład miał rozstrzygnąć. Ktoś twierdził, że wystarczy połowy dnia, za sprawą więc rozjemcy — szampana, przystąpił fabrykant do dzieła. W obecności zainteresowanych oraz rejenta, prowadzącego protokół, ścięto pewnego poranku w pobliskim lesie trzy drzewa. Zegar wskazywał godz. 7 m. 35 rano. Po sprowadzeniu do fabryki pocięto je na tartaku na kawały długości 30 centymetrów, inne maszyny porznęły je na wióry, inne znowu zmełły na drobną, mączystą masę. Wreszcie zaczęła działać właściwa papiernia: o godzinie 9 m. 20 wypadł z pod prasy pierwszy arkusz papieru. Obaj fabrykanci wskoczyli z nim do powozu i pojechali do oddalonej o 4 kilometry drukarni, gdzie już przygotowaną była prasa drukarska. O godz. 10 mieli już w ręku gotowy dziennik poranny. Po dokładnem obliczeniu okazało się, że cały proces przetwórczy trwał tylko *dwie godziny i 25 minut!* W tej liczbie można było oszczędzić nawet 20 minut, gdyby drukarnia była połączona z papiernią w jednem miejscu.

W ten sposób staje się dla każdego oczywistem, jaki kolosalny wynalazek zamienia szeleszczące swoją własną pieśnią drzewa leśne na arkusze upstrzone czarną farbą drukarską arkusze. Papier ten piękny, gładki, jedwabisty. Ale nie darmo mówi przysłowie: „co nagle, to po dyable.“ Jakże jest krótkotrwały! Po czterech, pięciu latach te piękne kartki stają się tłuste; piękny, biały kolor, nabiera połysku brunatnego. Po dziesięciu latach zaczyna się łamać, „rozlatuje się.“ A co to będzie za lat pięćdziesiąt? Tak długo rzecz nie jest jeszcze w użyciu powszechnem. Ale gdy dożyjemy tej chwili? Co to będzie z książkami, dziennikami, ową kopalnią wiadomości pierwszorzędnych dla historyka cywilizacyi! Ulotnią się i wiersze poetów, i listy kochanków, i glossy komentatorów...

A spojrzyjmy wstecz, zajrzyjmy do wielkich zbiorów rzadkich druków. Po tylu stuleciach papier jest gładki, piękny, czysty, a żółto-biały połysk przypomina kość słoniową. Każda litera jest jak gdyby cyzelowana, utoczona, nigdzie nie zamazana farbą drukarską. Cofnijmy się jeszcze więcej wstecz. W tych samych wielkich zbiorach znajdujemy papirusy, sędziwe tysiącowiekowe pamiątki cywilizacyj zamierzchłych, które dziś jeszcze odczytać się dają i sprawiają świadomym rzeczy uczonym niewysłowioną rozkosz estetyczną. Ale my czasu nie mamy. Jakiż tam drukarz dba dziś o to, aby jego praca go przeżyła? Dzień dzisiejszy przedewszystkiem. Pod tem hasłem literaci zapominają pisać „po literacku,“ korektor puszcza w niepamięć gramatykę, drukarz — wielkie tradycye swoich mistrzów: aby prędzej, aby dalej — *après nous le déluge!* (r.)

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W Hamburgu założono na przedmieściu „dom“ dla robotnic, otwarty od 9 rano do 11 wieczór. Lokal składa się z 6 pokojów, piwnic, łazienki i ogrodu. W południe wydaje się obiady porcya 12 kop., a wieczorem zupy. Wieczorem odbywają się wykłady treści ogólnej oraz kursy szycia i krawieczczyzny. W ten sposób robotnice, które nie mają mieszkania własnego, a tylko t. zw. „kąty noclegowe,“ znajdują miejsce, gdzie mogą wolny czas przepędzić.

— W Lipsku, Berlinie, Wrocławiu i Moguncyi wre silna agitacya za zamykaniem obowiązkowem sklepów o 8 wieczorem. Agitacya rozbija się o opór nietylko właścicieli sklepów, ale i publiczności, która jest przyzwyczajona do czynienia zakupów wieczorem. Jak dalece „prawo“ takie jest potrzebnem, dowodzą stosunki angielskie. Tam stowarzyszenie „Early Closing Assoclaton“ w Londynie już oddawna przeprowadziło bill, ograniczający samowolę właścicieli sklepowych. Śmiano się w parlamencie, dowodząc, że prawo takie jest zupełnie zbytecznem. Tymczasem świeżo sekretarz tego stowarzyszenia, Lacland, ogłosił w *Times*'ie, że w liczbie 4,167 zwiedzonych sklepów (gdzie pracowało ogółem 11,414 robotnic) w 505 popełniono nadużycia w zakresie wolnego miejsca dla robotnic (por. artykuł w *Prawdzie* nr 11 r. b.) a w 14,424 wypadkach inspektorowie zauważyli nadużycia w zakresie prawa, ograniczającego pracę robotników poniżej lat 10 do 74 godzin tygodniowo. Kończy pan Lacland swoją filipikę słowami Roberta Burns'a. „Womans Inhumanity to women makes countless thousand mourn.“ (Nieludzkość kobiet w stosunku do kobiet wytwarza nieobliczony smutek)

— Jak donosi organ watykański *Lombardia* — wielki penitencyaryusz i kasyer generalny stolicy apostolskiej oblicza dochody „roku jubileuszowego“ na 600 milionów franków. Ojcowie Jezuici obliczali je tylko na 200 milionów. Towarzystwa kolejowe włoskie, którym Watykan gwarantował sprzedaż 1 miliona biletów dla pielgrzymów i tytułem gwarancyi złożył 30 tys. lirów — dziś już muszą zwrócić kaucyę.

— Wilhelm II nie jest przyjacielem cyklistek. Podczas jesiennych manewrów w pewnem mieście Prusiech Wschodnich defilowały przed nim wszystkie stowarzyszenia sportowe. Zauważył w szwa-

ronie kolarzy cały szereg kobiet, a że jednocześnie dziękował deputacyi dziewic miejscowych która mu wręczała kwiaty — rzekł: „Proszę was, moje Panie, nie siadajcie na bicykl!"

**Leon Tołstoj** pisze obecnie nową powieść, zatytułowaną „Ojciec Sergiusz" — z życia klasztornego. Tołstoj opisze walkę wewnętrzną mnicha, który w otoczeniu swojem uchodzi za „świętego." Trzy rozdziały są już gotowe; autor czytał je znajomym w Moskwie.

**Ruch kobiecy**. Za czasopismami feministycznemi podaliśmy wiadomość, że tytuł „doktora filozofii," ofiarowany powieściopisarce austryackiej pani Ebner-Eschenbach, jest pierwszym, jaki zdobyła kobieta. Wiadomość ta jest fałszywą. Już przed panią E. następujące kobiety posiadły to odznaczenie: Karolina Michaelis de Vasconcellos (1890) za prace w dziedzinie filologii romańskiej, hrabina Ersilia Loratelli z domu Gaetani—za prace archeologiczne (1894), wreszcie Lady Blennerhasset, ur. hrabina Leyden — za biografię pani de Stael.

— Na zgromadzeniu chemików bawarskich w Bambergu pani Lydia Rabinowitsch wygłosiła odczyt: „Bakcyle tuberkuliczne w maśle"

— Z Kanady donoszą, że dyrektor szkół rolniczych, G. E. Creelmann, urządził na nich oddziały kobiece.

— Przed dwudziestu laty nie było we Francyi ani jednej szkoły wyższej dla dziewcząt, prócz zakładów prywatnych. Obecnie rząd utrzymuje 40 liceów, a zarządy miast 28 collèges'ów. Dodać należy liceum dla dziewcząt w Tunisie. W ostatnim roku uczęszczało do tych zakładów ogółem 11,994 uczennic. Zakłady te wpływały zabójczo na przedsięwzięcia prywatne, zaś szkoły klasztorne kwitną, jak dawniej bez zmiany. O szalonym wzroście zakonów żeńskich świadczy statystyka: w r. 1789 było we Francyi 37 tys., 1878 — 127 tys., a obecnie 150 tys. mniszek, rozrzuconych po 1,304 klasztorach.

**Sprawy ekonomiczne**. Z Francyi piszą o kryzysie w zakresie przemysłu przędzalniczego. W dwu centrach tego przemysłu, w Roubaix i Tourcoing, w przeciągu kilku tygodni ogłoszono upadłość 17 wielkim przemysłowcom, przyczem straty wynoszą kilkadziesiąt milionów franków. Przyczyn kryzysu należy szukać w nadmiernej spekulacyi, w dużej części wywołanej cłami protekcyjnemi.

**Zmarli**. Frank, znany botanik niemiecki, profesor akademii rolniczej, zm. w Berlinie, autor wielu prac specyalnych, a między innemi i podręcznika przełożonego na język polski.

— Ferdynand Hansemann, agraryusz pruski, człek, który według metody Bismarcka nie bał się nikogo, prócz swojego (pruskiego) boga, i dlatego w wązkiej piersi pieścił nienawiść dla Polaków. Inicyator wycieczek pielgrzymich Niemców poznańskich do Dalaj-Lamy wszelakich hakatyzmów do Warcina. W ostatnich miesiącach stracił mir u hakatystów, albowiem domagał się zamknięcia granicy przed robotnikiem polskim; według niego przeciwdziałać można wychodźtwu robotnika niemieckiego z dzielnicy poznańskiej na Zachód tylko przy pomocy lepszego wynagrodzenia. Agraryusze nie mogli zrozumieć tej polityki.

*Wyszła w osobnej książce dołączana jako dodatek do PRAWDY praca Maksimowa*

**Przestępcy polityczni i państwowi**

stanowiąca trzecią część dzieła **Syberya i ciężkie roboty**.

*Cena w Warszawie 1 rb. 20 kop. z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 45 kop.*

## OGŁOSZENIA.


Aleksander Kraushar

**KSIĄŻĘ REPNIN I POLSKA**

W PIERWSZEM CZTEROLECIU

**Panowania Stanisława Augusta**

1764—1768.

Wydanie nowe przejrzane i poprawione

**Dwa duże tomy** na welinie z licznemi ilustracyami rodzin, osobistości, miejsc i widoków, rb. 5.

Skład główny w księgarni

GEBETHNERA I WOLFFA

w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Do nabycia w Administracyi *Prawdy* i we wszystkich księgarniach:

**Ruch etyczny.**

I. Cena kop. 15.

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*

*J. H. Tylor*:

**Zmyślność i moralność roślin**

tłom. J. K. Potocki.

Cena w ozdobnej oprawie 1 rb. 20 k

L. Tołstoja **„ZMARTWYCHWSTANIE"**

w przekładzie **St. Stempowskiego**

Trzy części w dwóch tomach. Cena 75 kop. Skład główny w Administracyi „Prawdy." — Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Spółka Nakładowa.**

**Brandes Jerzy.** Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402— rs. 1.50.

**Chmielowski Piotr dr.** Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

**Gumplowicz L.** System socyologii — rs. 3 kop. 30.

**Heine Henryk.** Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jellenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

— Wybór pism, t. III. Księga Le Grand, Noce florenckie, w przekładzie Maryi Konopnickiej — 1 rs.

**A. Okolski.** Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

**Smoleński Władysław.** Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

**Prus Bolesław** (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

**Śpiewnik dla dzieci**, z tekstem M. Konopnickiej, muzyką **Z. Noskowskiego**. Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosenek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny — rs. 2 kop. 50.

**Światełko**, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Sadowa 14.

**Wydawnictwa „Prawdy"**

**Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii—rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rb. 1.

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rb. 6.

H Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rb. 3. k. 30.

M Mignet. **Historya Rewolucy francuskiej**, tomów dwa—rb. 2

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

**Encyklopedya dla dzieci** (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50. Egzemplarze oprawne o 20 kop drożej.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.

*Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

A. Maksimow. **Syberya i ciężkie roboty**, tłom. Z Pietkiewicz. Część I Nieszczęśliwi — rb. 1 kop. 20.

Część II Winni i oskarżeni — rb 1 k. 20.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

**PISMA**

**Aleksandra Świętochowskiego:**

**Tom I**: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 kop. 50.**

**Tom II**: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 kop. 20.**

**Tom III**: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**

**Tom IV**: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**

**Tom V**: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 50.**

**Tom VI**: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20.**

**Tom VII**: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*.



Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Сентября 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.